PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17.
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

* *
*

Święta Zmartwychwstania Pańskiego obchodziliśmy w r. b. w warunkach nader ciężkich i trudnych, tak, że uroczystość ta radosna, symbolizująca zwycięstwo nad śmiercią i odrodzenie jednostek i społeczeństw chrześcijańskich w Chrystusie, tym razem nie zdołała wywołać długotrwałego radosnego nastroju w naszym znękanym społeczeństwie i oderwania się jego od trosk i zawodów dnia powszedniego.

Przeżywamy niewątpliwie czasy kryzysu. W pierwszym rzędzie jest to kryzys gospodarczy powodujący nędzę szerokich sfer społecznych i prowadzący do pauperyzacji całego narodu. Liczne rzesze przymierają wprost głodem, większość zaś społeczeństwa żyje w warunkach nienormalnych, biedując z dnia na dzień i łatając swój budżet, jak się da, aby tylko wyżyć. Wszyscy pytają, jakie są przyczyny tego stanu rzeczy. Wiemy, że oprócz przyczyn ogólnoświatowych, które dotyczą wszystkich krajów, oprócz tej znanej ogólnie klęski nadprodukcji i za nią idącego bezrobocia — mamy w Polsce do czynienia z przyczynami naszymi wewnętrznymi, krajowymi, które zwiększyły w kolosalnych rozmiarach stagnację gospodarczą. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że zjawisko

to zostało wywołane wyłącznie błędami naszej polityki gospodarczej i finansowej...

Polska przeżywa kryzys wewnętrzny, moralny, psychiczny. Jeżeli porównamy samopoczucie, energję i zapał społeczeństwa w roku 1918 — 25 i obecnie, różnica stanie przed nami z całą straszliwą jaskrawością. Niewątpliwie i przed rokiem 1926 społeczeństwo rozwijało się nie po linji idealnej, były i wówczas załamania i błędy, jednakże nie dadzą się one w żadnym razie porównać z obecnym marazmem i upadkiem ducha, z pesymizmem, który ogarnął olbrzymią większość narodu, oprócz tylko tych, którzy uważają się za władców i opiekunów narodu. I nie można tego osłabienia energji narodowej kłaść wyłącznie na karb kryzysu gospodarczego, bowiem i w r. 1923—24 przeżyło społeczeństwo ciężki kryzys najpierw finansowy, a potem gospodarczy, a jednak potrafiło wyjść z niego o własnych siłach; zdrowy organizm oparł się sam chorobie bez żadnych narkotyków i ryzykownych operacji.

Jesteśmy świadkami niebywałego w dziejach Polski eksperymentu zastąpienia autorytetu moralnego—jedynie i wyłącznie autorytetem siły fizycznej, wartości moralnych — wartościami czysto materjalnymi. Chwila odzyskania niepodległości była dla obecnego pokolenia niezapomnianą wiosną ludów: przed oczyma naszemi padały w gruzy mocarstwa rozbójnicze, te, które trzymały tak długo naród polski pod zbrojną okupacją, których rządy w Polsce legitymowały się jedynie armatami, więzieniem i knutem, a naród nasz wraz z innymi narodami słowiańskimi odzyskiwał swobodę ruchów i przystępował do wielkiej i twórczej pracy nad rozbudową swoich instytucji życia publicznego. Nie ulega wątpliwości, że przy tej gorączkowej rozbudowie popełnialiśmy błędy, czem one jednak były wobec faktu, że naród wolny i niepodległy pracował swobodnie nad swoją własną przyszłością z zapałem i energją. To był właściwie okres twórczości radosnej — nie w cudzysłowie...

Obecnie nadszedł okres twórczości ponurej. Jeżeli przypatrujemy się naszemu życiu politycznemu w chwili obecnej, to uderzy nas przedewszystkiem ogromny wzrost zbrodni i występków na tle politycznym, a następnie zupełna prawie ich bezkarność. Oczywiście rezultatem tego musi być wzrost

animozji społecznych, politycznych, partyjnych i całkowite zachwianie zaufania we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego. Społeczeństwo jest terenem zaciętej walki, w której po jednej stronie jest siła fizyczna, po drugiej zaś poczucie obrażonej godności narodowej i podeptanych praw społeczeństwa. Zaciętość doszła już do tego stopnia, że minister oświaty nie waha się oświadczyć w parlamencie, że walka ta, która jest „klątwą naszej rzeczywistości" i „jej refleksy muszą docierać nawet do szkoły". Wiemy kto do szkoły wprowadza refleksy tej walki...

Wiemy dobrze kto tę walkę narzucił społeczeństwu polskiemu i jakimi walczy środkami. Nie możemy tylko dotychczas dostrzec racjonalnego jej celu. Naszem zdaniem walka ta absolutnie nie jest wywołana żadną racjonalną potrzebą, żadną koniecznością naszego życia zbiorowego, żadną istotną i rzetelną racją stanu, jednym słowem żadną pozytywną przyczyną moralną, polityczną, czy gospodarczą. Dlatego też skutki jej mogą być tylko fatalne i są już fatalne w postaci zwiększenia się animozji i nienawiści wewnętrznych, ogólnego upadku zaufania i poczucia dobrej woli w stosunkach wewnętrzno-społecznych oraz ogólnego zmniejszenia energji twórczej społeczeństwa i zapału do pracy zbiorowej. Objawy te odbijają się na całokształcie naszych stosunków, a stąd i na życiu gospodarczym, pogłębiając wydatnie istniejący już kryzys.

Fala występków, krzywd i nienawiści rośnie i wzbiera, jak potężny wylew rzeki, zalewający pola uprawne i warsztaty pracy. Oczywiście w tych warunkach umoralniająca i uspakająca wzburzone namiętności praca Kościoła i Akcji katolickiej musi też natrafiać na przeszkody, tembardziej, że wielu działaczy i przywódców panującego systemu wypowiada się za wprowadzeniem ustaw i zarządzeń sprzecznych z zasadami katolickimi, lub też, jak to miało miejsce niedawno w parlamencie, stawia Kościołowi i duchowieństwu dziwne i wprost naiwne żądania, bądź to zupełnego odsunięcia się duchowieństwa od życia zbiorowego, tak, jakby duchowieństwo pozbawione być miało praw obywatelskich, bądź też — poparcia obecnego systemu, tak jakby Kościół mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie popełnione błędy i przestępstwa!

W tych ciężkich i trudnych warunkach jedno tylko nam pozostaje: zaapelować do tych wielkich, twórczych sił moralnych, które drzemią w organiźmie zbiorowym naszego narodu. Każdy system ludzki prędzej, czy później musi się skończyć, czasami zakończenie następuje wśród tragicznych okoliczności, przejście bowiem od jednego systemu do drugiego jest bardzo trudne. Chodzi o to, aby społeczeństwo było przygotowane na te drudności i umiało w odpowiednim momencie im skutecznie przeciwdziałać. Dlatego ogromny nacisk musi być położony na zorganizowanie społeczeństwa katolickiego, aby było gotowe wówczas, gdy na zegarze dziejowym wybije decydująca godzina, iżby żywioły radykalne i komunistyczne nie zrobiły w Polsce tego, co stało się niedawno w Hiszpanji.

Rozpamiętując więc radosną rocznicę Zmartwychwstania Pańskiego — módlmy się do Boga, aby wyzwolił nas z mocy obecnego... kryzysu... i wzbudźmy w sobie szlachetną ambicję niedopuszczenia naszą własną siłą i energją oraz systematyczną pracą organizacyjną do upadku w Polsce tych wartości moralnych, na których opiera się byt każdego społeczeństwa. Musimy pokonać istniejący wśród nas marazm i zanik poczucia obowiązków społecznych. Obowiązkiem inteligencji katolickiej jest nietylko zorganizować się samej, lecz także zorganizować masy pod sztandarem Chrystusa i Narodu, sprawiedliwości społecznej i praworządności. Zbyt wielka stawka wchodzi w grę, abyśmy mieli dłużej się namyślać i trwać w bezczynności, lub w apatji...

St. K-ski.

Na marginesie listu pasterskiego ks. Prymasa Hlonda.

W środę popielcową r. b. J. Em. ks. Kardynał Prymas Hlond wydał list pasterski, którego zasadnicza myśl oraz poszczególne ujęcia i wyrażane w nim poglądy są bardzo charakterystyczne dla dzisiejszych stosunków. Listem tym zajmiemy się bliżej, tembardziej, że naszem zdaniem za mało został on spopularyzowany i omówiony w prasie katolickiej.

Jako wielkopostne, pokutne rozważania stawia Ksiądz Prymas przed oczyma wiernych fakt, że Kościół Chrystusowy jest w czasach dzisiejszych nienawistnie i zacięcie zwalczany przez bezbożników wszystkich krajów, którzy „chcieliby na szczytach pychy człowieczej urządzić nową Golgotę, wystawić tam na szyderstwa Chrystusa żyjącego w tym Kościele, a potem skończyć na zawsze z Nim, z Jego Imieniem, z Jego Ewangelją, z Jego wpływem na życie ludów i na ducha dziejów".

List analizuje w sposób głęboki i wnikliwy zjawisko, które możnaby nazwać kryzysem współczesnej cywilizacji, przypominając, że „hasła, odmawiające Bogu prawa do ludzkości", które stały na progu czasów nowożytnych—z lekkomyślnym optymizmem zapowiadały ludzkości wspaniałą przyszłość. Tymczasem w zamian za to doszliśmy do ogólnej niemocy, przesilenia i kryzysu, do pogmatwania się stosunków, rysowania i kruszenia się ustrojów. Jest to więc faktyczne bankructwo zgubnych haseł bezbożnictwa, zarówno w dziedzinie etycznej, jak i w socjologji, filozofji państwowej, w życiu prywatnym, publicznym i międzynarodowym. Wrogowie Chrystusa nie dali jednak wcale za wygranę, lecz przeciwnie pragną wykorzystać ogólny kryzys i grozę katastrofy, brzask nowej epoki „witają, jako godzinę swoją, jako godzinę zamieszania i wzburzenia ludów, godzinę walk i mordów, głodu, rozpaczy. W tę godzinę chcą rozwinąć nad światem czarną chorągiew szatana".

W słowach bardzo mocnych charakteryzuje Ksiądz Prymas nasze polskie, rodzime bezbożnictwo:

„Nie przebrzmiało jeszcze w świecie zmartwychwzbudzające tchnienie: Polsko, „wynijdź z grobu"[1]*), a już odbywa się w łonie wskrzeszonej ojczyzny śmierciorodne zatruwanie pierwiastków życia i walka z jego stwórczym początkiem: Chrystusem. Ledwie nas Opatrznosć postawiła z powrotem na straży kultury i wiary, niby bramę warowną na rozgraniczeniu światów, a już klucze tej bramy wydajemy w ręce Kremlu i zachodniej loży. Dopiero zaczęliśmy rozumieć swoje nowe posłannictwo narodowe, a już stajemy się widowiskiem walki z własną przyszłości i z prawdą duszy polskiej, z twórczemi pierwiastkami postępu i z podstawami własnego rozwoju.*

---

[1]) Jan 11, 43.

Mówią, że to powiew Europy a w rzeczywistości wieje tu woń przykra moralnego rozkładu tej Europy, która „już cuchnie”[2]), wieje trupi zaduch bolszewickiego wschodu.

Jakżeż Polsce nie do twarzy ta wolterjańska mina bezbożnicza! Z wszystkich brzydactw, któremi fałszowano naszą psychologję, to jest najwstrętniejsze. Dusza polska, z gruntu religijna, łagodna „z samego przyrodzenia chrześcijańska”[3]), nie jest zdolna do bluźnierstwa, a kto ją do bluźnierstwa wykrzywia, dopuszcza się potwornej perwersji. Bezbożnictwo to nietylko nieznany w tradycjach polskich grzech przeciw Bogu, ale obraza Polski, jej duszy, jej imienia chrześcijańskiego i całej jej przeszłości.

Na szczęście nie masowy to ruch. Ale chociaż nie „wielu ich chodzi”[4]), znaczą się jednak w kraju ich wpływy. Jeszcze się w pewnej mierze ukrywają i ukrywają swe istotne zamiary, ale poczynają sobie coraz śmielej i coraz mniej się krępują. Już i w samo południe kąkol w pszenicę sieją. Coraz mniej pseudonimów w ich pismach. Już się przyłączyli do międzynarodowych organizacyj bezbożniczych i weszli w ich zarządy Na kongresach światowych uchwalają z wolnomyślicielami całego świata bezwzględną walkę z wiarą, wzmożenie propagandy antyreligijnej i organizowanie masowych wystąpień z Kościoła. W kraju przeprowadzają te uchwały. Ustawicznemi zamachami na sumienie stępiają zmysł etyczny narodu. Pogłębiają kryzys moralny i deprawują duszę polską przez oswajanie opinji publicznej z wszelką nieobyczajnością. Laicyzują całe życie. Uderzają w katolicyzm a popierają sekty. Niema się co łudzić: celem ich dążeń jest polski bolszewizm”.

Najciekawsza niewątpliwie jest ta część listu, która zajmuje się zadaniami katolicyzmu w dobie bieżącej.

Dostojny Autor uważał za stosowne zająć się najpierw negatywnym ujęciem przedmiotu i podkreślił to, co do zadań Kościoła właśnie nie należy. I tu znajdujemy ciekawe omówienie stosunku Kościoła do t. zw. postępu:

„Mylne jest zapatrywanie—czytamy—jakoby zadaniem Kościoła było cofać dzisiejszą chwilę do minionych form, do wczo-

---

2) Jan 11, 39.
3) Tert Apologeticus, c. 17.
4) Fil. 3, 18.

rajszych nastrojów, do rozmarzonego romantyzmu, do baroku, do bujnego średniowiecza. Nie jest bowiem rzeczą Kościoła powstrzymywać pochodu ludzkości. Nie o to dbać powinien, aby epoki świata były do siebie podobne pod względem układu stosunków społecznych i państwowych, lecz o to, aby każda epoka żyła duchem Chrystusowym. Nie poręcza Kościół ustrojów publicznych, nie przywraca przeszłych form życiowych, nie tworzy nowych. Powołaniem jego jest podawać wszystkim czasom zasady przyrodzonego i objawionego prawa bożego, na którem wspierać się powinna struktura społeczeństw".

Gdy czytamy te słowa, przychodzi nam na myśl, że choćby nawet w niektórych wypadkach Kościół bronił pewnych form życia świeckiego—to w każdym razie obrona ta nie może dotyczyć form dzisiejszych, przesiąkniętych duchem materjalizmu i bezbożnego liberalizmu. Stajemy więc na gruncie postępu pod tym jednak warunkiem, że będzie on zgodny z zasadami katolickiemi i przybierać będzie formy rozsądne i pożyteczne.

Dalej czytamy w liście, „że Kościół „jest stróżem narodów, ale w dziedzinie sumienia. Jest wodzem, ale wodzem duchowym, kształtującym stosunek między postępem doczesnym, a nadprzyrodzoną kulturą duszy..." „Nie bierze Kościół udziału w technicznej przebudowie społeczeństw, w przeobrażeniach politycznych, w walkach o władzę... Jedyny spór i to spór wielki odwieczny, jaki prowadzi, to spór o Boga". Lecz z drugiej strony, wychowując ludzkość w zasadach Chrystusowych, wywiera tym samym zasadniczy wpływ na jej rozwój i przeobrażenia dokonywujące się w jej łonie. Zmiany bowiem techniczne, zewnętrzne, są zawsze wyrazem pewnych przeobrażeń głębszych, wewnętrznych.

Autor przechodzi następnie do zagadnienia metod pracy i potępia pogląd, jakoby Kościół powinien w czasach dzisiejszych jaknajmniej się narażać i w tym celu ograniczać swoją działalność do spraw najistotniejszych, lub do obrony tylko posiadanych w ręku pozycji, „a zresztą jaknajdalej uciekać od złości obecnych czasów..." zamienić się w obóz warowny „ogrodzony zasiekami od świata, a tem jedynie zajęty, by napady odpierać i tak poprzez burzliwe czasy ocaleć". Jednym słowem spotykamy się z potępieniem niezmiernie rozpowszechnionej i popu-

larnej wśród katolików w Polsce metody — ograniczania się do defenzywy wyłącznie.

List pasterski propaguje metody inne, ujęte, w pięknych słowach, które podajemy w całości:

„Kościół nie jest cieplarnianą roślinką, lecz drzewem, które Bóg „zasiał na roli swojej", by się rozrosło na świat cały. „Na jego gałązkach mieszkają ptaki niebieskie", ale i wichry szarpią jego konary. Katolicyzm był zamknięty na modlitwie w wieczerniku tylko do zesłania Ducha Świętego a potem wyszedł zeń na zawsze i stał się wiekuistem apostolstwem, które dla pozyskania „ludu niewiernego i sprzeciwiającego się") wychodzi z Chrystusem „poza obóz, niosąc urąganie Jego").

Za wiele jest w pewnych kołach katolickich nastawienia na obronę a za mało zrozumienia zdobywczych zadań Kościoła. Skoro wywrót i bezbożnictwo coraz śmielej uderzają w chrześcijaństwo, musi być i obrona, i to obrona zwarta, dostojna, mocna w dowodach, któremi walczy, potężna pierwotnym duchem ewangelicznym. Ale obrona to nie wszystko. Nie wystarcza zasłaniać się i ciosy odbijać. Kościół ma odnieść „zwycięstwo, które zwycięża świat", a to zwycięstwo osiągnie tylko walną ofensywą na całym froncie katolickim.

Naczelnym nakazem dzisiejszej chwili jest uruchomienie powszechnej ofensywy katolickiej...

Budzi się w katolicyźmie zapał ofensywy, ale go jeszcze mało. Zesztywnieliśmy w twardej defensywie ostatniego półtorawiecza. Przyzwyczailiśmy się do nietwórczej służby w okopach, przyczem i duch nieco przygasł, osłabła inicjatywa, ścieśniły się widnokręgi. Trzeba nam przeszkolenia własnych sił. Trzeba pod niejednym względem zmienić pogląd na cele i na sposoby pracy, a przedewszystkiem duch stężeć powinien. W łonie katolicyzmu przeprowadzić należy krucjatę życia wewnętrznego. Tu czeka nas najważniejsza praca, którą przeprowadzić trzeba bez zwłoki i miękkości, ale i bez drażliwości i niepokoju".

W dalszych Swoich wywodach, pełnych zapału i wiary w zwycięstwo odwiecznej prawdy, podkreśla Ksiądz Prymas, „że pod tchnieniem Ducha św. katolicyzm wkroczył w okres wewnętrznego odrodzenia". W całym działaniu Kościoła „znać

walkę ze stagnacją, rutyną, z półświadomością religijną, z wszystkiem tem co było powodem przygłuszenia, zastoju i nieczynu". „W porę powierzyła Opatrzność rządy Kościoła Papieżowi, który od lat 10 mobilizuje katolicyzm i wydobywa we wszystkich dziedzinach życia kościelnego nowe energje i wartości". Płomiennym zapałem porwany woła Ksiądz Prymas, że w obecnych czasach zniknąć winna wszelka słabość, płytkość i jałowość, gdyż zbliża się okres bohaterów i męczenników.

Wspaniałe to orędzie kończy się wezwaniem do duchowieństwa i katolików świeckich. — Do księży, aby wznosili się „na coraz wyższe szczeble wewnętrznego wyrobienia kapłańskiego" i doskonalili ustawicznie swoje metody pracy, pamiętając o realizowaniu zasad w życiu praktycznem. Do świeckich, aby nie ustawali w dążeniu do „zupełności Chrystusowej" i rozpoczynając oczywiście od wyrobienia wewnętrznego, rozszerzali następnie swoją akcję na coraz szersze dziedziny. W pracy winni wziąć udział wszyscy: i bractwa i sodalicje i Akcja katolicka, jako hufiec linjowy, oraz pomocnicze organizacje katolickie, „politycy, senatorowie posłowie, profesorowie, nauczyciele, pisarze, literaci, rolnicy, robotnicy, wszystkie zawody".

Oto są najważniejsze myśli zawarte w liście pasterskim Ks. Kardynała Hlonda. List ten jest jednym z najbardziej ciekawych i charakterystycznych enuncjacji Episkopatu polskiego w czasach dzisiejszych ze względu na wiele ważnych myśli i poglądów, dotyczących metody akcji katolickiej i zadań Kościoła wobec przeobrażeń i zmian doby obecnej. *s. k.*

Szczęście rodzinne a dzisiejsze projekty reformy prawa małżeńskiego.

Polskie społeczeństwo katolickie od kilku lat alarmowane jest wieściami, że Komisja kodyfikacyjna R. P. zamierza przeprowadzić na wzór stosunków w niektórych państwach zachodnio i wschodnio-europejskich reformę prawa małżeńskiego w Polsce. Cała ta sprawa, otoczona do ostatnich czasów mgłą tajemnicy, ujrzała wreszcie światło dzienne i wywołała — co jest rzeczą zrozumiałą — wzburzenie polskiej opinji katolickiej. Dnia 25 października, w dzień święta Chrystusa-Króla, gdy modliliśmy się o pomyślność i zdrowie moralne narodu, prof. Ka-

rol Lutostański, referent podkomisji prawa małżeńskiego, przedstawił w gmachu Sądu Najwyższego projekt reformy małżeństwa, a w tymże dniu w drugim krańcu Warszawy w dzielnicy robotniczej otwarto poradnię zapobiegania przyrostowi ludności. — Samo zestawienie tych faktów już wykazuje, że chodziło o urągowisko Temu, który rzekł: „Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza" i „Rośnijcie i mnóżcie się!" — Tym razem taran zeświecczenia uderzyć ma w ostoję społeczeństwa, w najmniejszą, naturalną jego komórkę — rodzinę, i podważyć jej dotychczasową spoistość. Projektodawcy w imię szczęścia jednostek i rzekomego uzdrowienia stosunków rodzinnych opracowali nowe podstawy zawierania i rozwiązywania małżeństw, wierząc, że tą drogą usuną jedną z największych bolączek, jakiemi jest dla wielu ludzi nietrafnie dobrane małżeństwo. Twierdzą, że małżeństwo, jako instytucja, utworzona za zgodą dwojga ludzi, za ich też wolą może być rozwiązywana, a wskutek jej przyrodzonego świeckiego charakteru powinna podlegać tylko sankcjom państwowym. Przeciwne stanowisko zajmuje od początku Kościół Katolicki, który twierdzi, że małżeństwo zostało ustanowione przez Boga; nie przecząc jednak, że wybitną rolę w tworzeniu małżeństwa ma udział akt zgody obu stron, zawierających małżeństwo, Kościół wyraźnie podkreśla, że „małżeństwo nie zostało ustanowione ani odrodzone przez ludzi, lecz przez Boga, Twórcę samego stworzenia; i tegoż stworzenia Odnowiciela, Jezusa Chrystusa prawami zostało obwarowane". Zdaniem tedy Kościoła całkowite zagarnięcie przez państwo dziedziny zawieraniai rozwiązywania małżeństw jest przywłaszczeniem praw należnych Kościołowi.

Kościół staje tutaj na straży szczęścia rodziny, moralności i zapewnienia dzieciom wychowania; głosi, że małżeństwo tylko na podstawach katolickich oparte, daje pewne gwarancje szczęścia

Rodzina jest to ojciec, opiekun, siła, rozum i praca; jest to matka — serce, gospodarność, hart ducha i ofiarność; jest to wreszcie dziecko — nadzieja, przyszły obywatel i podpora rodziców w starości. Rodzina jest pierwszą szkołą, w której przyszły człowiek uczy się pierwszych słów, w której rodzice dają dziecku wiadomości o Bogu i zaprawiają do przyszłego życia. Jest to skarbnica, z której czerpie się przez całe życie bezcenne klejnoty i oddycha swobodnie po trudach walki o byt.

Ogniskiem, koło którego skupia się życie rodziny, jest matka, anioł pokoju i dobroci, który spieszy tam, gdzie trzeba jej pośrednictwa i pomocy; koi cierpienie, choćby się sama na nie narazić miała; dźwiga często nadludzkie ciężary, by ulżyć barkom męża i dzieci. Ojciec — zaś to filar, na którym opiera się rodzina; on daje jej środki utrzymania, toruje jej drogę w życiu i wespół z matką pracuje nad pogłębieniem charakteru dzieci. Słusznie święty Bonawentura powiada: „Pobożna matka — to jedna dusza zbawiona, ale pobożny ojciec — to cała rodzina zbawiona".

Ile szczęścia daje rodzina, oparta na rozumnie pojętych zasadach chrześcijańskich, ten tylko pojmie, kto ją posiadał. — Patrzmy: Oto dwoje młodych ludzi, poznawszy się i pokochawszy ślubuje sobie wierność i wytrwanie na dobrą i złą dolę. — Jakież wzruszenie głębokie i uroczyste zdejmuje młodzieńca, gdy wziąwszy drżącą rękę narzeczonej, ślubuje jej wobec kapłana wierność i miłość dozgonną, tej jednej, wybranej z tylu miljonów innych, ona zaś czyni mu ślubowanie, że strzec będzie tego domowego zniczu, który w dniu ślubu wspólnie zapalili, i że stanie się jasnym promieniem, umilającym wspólną pielgrzymkę.

Cnota małżonków, oparcie pożycia na głębokich zasadach chrześcijańskich, to najpoważniejszy, warunek ich szczęścia. Gdy cnotliwi ludzie się dobrali, gdy w pożyciu wspólnem kierują się nietylko miłością przyrodzoną, ale na czele swych wszelkich poczynań stawiają prawo Boże, szczęście ich jest pewne. Jedność celów i poglądów, wspolna służba Bogu, który jest jakby pierwszym gospodarzem w domu, to niezawodna podstawa trwałości ich szczęścia.

Ileż głębokich, a przedtem nieznanych wzruszeń niesie wspólne pożycie, ileż drgnień serca tajemnych, gdy małżonka, skłaniając ze wzruszeniem głowę na ramię męża, szepce, że stała się matką jego dziecięcia. Opatrzność w jej łonie zbudowała dziecku kołyskę, w której poczyna się jego żywot, by dojść do rozkwitu. Matka, czując jego drgnienia, wita je najsłodszemi słowy i snuje radosne obrazy jego rozwoju na ziemi. — Oto ku schylonej nad kolebką wyciąga dziecię wątłe rączyny, a jej rozpromienione oblicze tchnie wdzięcznością ku Stwórcy, że dał jej zaznać tak tkliwych wzruszeń matczynego serca. Jej uś-

miech, wywołuje uśmiech dzieciny. — Dzień chrztu dziecka! — toć to dzień radości, że nowy obywatel przybył do Królestwa Bożego, że ta więź łączyć ich będzie tem silniej, a przez czystość swej niewinnej duszyczki wyjedna swym rodzicom zdroje Łask i pomoc skuteczną do wypełnienia uciążliwych nieraz obowiązków rodzicielskich.

Spoistość chrześcijańskiej rodziny zacieśnia się coraz bardziej z biegiem lat, gdy troski przeorzą brózdami czoła małżonków, gdy dzieci — wspólne ich ukochanie i źródło nieustannych obaw o zdrowie duszy i ciała, dojdą do lat młodzieńczych i przypominają młode orlęta, gotowe do odlotu. — Wspólne zaufanie, wzajemna wymiana myśli łączy starsze i młodsze pokolenie nierozerwalnem ogniwem. — Wieczorem, po całodziennych zajęciach zbiera się rodzina przy stole, lampa przyćmiona skupia ich w swoim kręgu; snują złote marzenia przyszłości; smutne i radosne wspomnienia poruszają ich serca i skuwają nierozerwalnym łańcuchem, przeżycia zaś dnia odczuwają wszyscy; i tak dusza do duszy zagląda coraz bliżej, coraz serdeczniej, coraz głębiej. Zdala od gwaru i uciech szczęśliwi się czują w swem kółku. — Radosne i zdrowe kółko rodzinne, wzajemna wymiana uczuć i myśli — to kamienie węgielne wierności małżeńskiej i miłości dzieci do rodziców. — Uśmiech i radość — jak słusznie podkreśla pedagogja — to pierwszorzędny czynnik wychowawczy. — Szczęście w domu, to nietylko ludzie, ale nawet i sprzęty domowe, ustawione gustownie, to czystość izby, pamiątki rodzinne, schludny strój domowników, kwiaty na stole— i śpiew żony lub córki słowem to wszystko, co sprzyja miłemu wyglądowi mieszkania i potęguje dodatnie wrażenia domowników. — Człowiek jest stworzony dla szczęścia, dla wesela, całą swą duszą rwie się do niego, jak kwiat ku promieniom słonecznym; jeśli je znajdzie w rodzinnym domu, rozkosze świata stracą dlań wszelkie powaby.

Niezawsze jednak zdajemy sobie należycie sprawę z wszystkich wartości, jakie posiada nasze życie rodzinne. — „Przebywając w niem od lat najmłodszych i nie mając możności porównania z innemi ogniskami — powiada C P. Z. w dziełku „Na progu małżeństwa” — nie oceniamy tego, co nam bez wysiłku przychodzi, podobnie, jak nie oceniamy świetlistych i ciepłych promieni słońca, powietrza, którem się oddycha, zdrowia,

które się posiada. Wartość rodziny odczuwa tylko ten, kto długo w niej nie przebywał lub ją utracił, zwłaszcza niespodziewanie. Jakże droga jest wówczas rodzina, której już nie posiadamy, a której wszystko mamy do zawdzięczenia"!

Twierdzicie, wy, sceptycy, że małżeństwo, to grób miłości; wątpicie, czy może być szczęście w rodzinie! Jeśli chcecie poznać prawdę, idźcie do tych małżeństw, gdzie prawo Boże jest w poszanowaniu. Jeśli chcecie dać szczęście skłóconym małżonkom, nie wprowadzajcie do rodzin zatęchłych wyziewów pogańskiego ustawodawstwa, lecz raczej dołóżcie starań, by pożycie w rodzinach oparło się na prawie Bożem. Wtedy zrozumiecie, co to jest szczęście małżonków.

Małżeństwo jednak, o ile nie jest oparte na głębokich podstawach chrześcijańskich i czynnem praktykowaniu cnót, ulega często katastrofie rozbicia. Ludzie niekiedy zapominają o tem, że szczęście nie jest zdobyczą jednorazową, jak brylant, kupiony u jubilera i stanowiący trwałą własność, ale że jest raczej krainą, przez którą się podróżuje, w której można napotkać urocze widoki, lecz i ostre kamienie na drodze, zwycięzcą jest ten, kto potrafi ominąć je bez szkody.—Zanik życia religijnego, zamiłowania do pracy, łapczywość na rozkosze i ponęty świata, a co za tem idzie zanik ducha rodzinnego—to najogólniej biorąc główne źródła, zabierające szczęście rodzinne. Czyż może być ono tam, gdzie mąż np. używając w nadmiarze alkoholu, mąci bezustannie spokój domowego ogniska, lub przez brak panowania nad sobą czy niechlujność osobistą zraża do siebie coraz bardziej małżonkę? Na szczęście mamy dziś wiele takich małżeństw, które mimo trudności pożycia trwają na stanowisku, jak żołnierz na wyznaczonym posterunku, pamiętając o tem, że szczęście nie jest wyłącznym celem małżeństwa, ale jest nim wypełnienienie powziętego dobrowolnie obowiązku; szczęście może być albo nie być, ale obowiązki spełnione być muszą.

Są jednak dwa poglądy na małżeństwo: przed chwilą przedstawiony — chrześcijański, który obowiązek wyżej stawia ponad egoistyczne szczęście jednostki — i materjalistyczny, który cel zakłada wyłącznie w tem życiu i szuka nie wypełnienia obowiązku, lecz wyłącznie szczęścia i rozkoszy; a jeśli jej nie znajduje, ucieka się do wszelkich środków, byle je znaleść. Kto

twierdzi, że małżeństwo, to tylko miłość erotyczna, ten niech nie wstępuje w związki małżeńskie, bo ta miłość nie zależy od naszej woli, ale od zjawisk przejściowych: rysów twarzy, głosu, itd. Miłość zaś małżeńska — to skupienie wszystkich czynników współżycia.

Tym właśnie poglądem pogańskim kierowali się autorzy nowego prawa małżeńskiego, projektując swoją reformę. Twierdzą oni, że z chwilą, kiedy zanika miłość erotyczna, zanika i stadło małżeńskie, a przeto należy wówczas pozwolić stronom na rozejście się, by szukały świeżego zaspokojenia swych cielesnych porywów. — Głoszą więc dalej, że małżeństwa z jakichkolwiek powodów niezadowolone z siebie, mogą wziąć rozwód, choćby w kościele były zawarte, i wstąpić w nowe związki.

Wstępować w związki małżeńskie, rozwodzić się można dowolną ilość razy. — O ile małżonkowie skończyli 25 lat, a nie mają dzieci, mogą zawierać małżeństwa koleżeńskie na 3 lata, a potem z kim innym na nowe 3 lata itd. — Różnica w tym wypadku między ustawą bolszewicką i polską jest taka, że polska ustala termin 3 letni, bolszewicka zaś nie oznacza terminu, duch wszakże jest jeden i ten sam. Wiadomo więc, że nie chodzi tu o obronę tych „jęczących w kajdanach małżeństwa", ale o coś zupełnie innego. Ślub w kościele nie posiada ochrony państwa, zawierać małżeństwo można w gminie wobec urzędnika i t. d.

Zwolennicy kontraktów małżeńskich, niesłusznie zwanych ślubami cywilnemi, bo ślub może być tylko kościelny, twierdzą, że rozwody podnoszą moralność w rodzinie i zapewnią ludziom szczęście bo małżonkowie nie będą zmuszeni do zmiany wyznania, lub cudzołóstwa. Podobnie rozumując, powinnibyśmy powiedzieć: ponieważ są ludzie niezadowoleni z tego, że istnieje własność prywatna i pożądając cudzej własności, kradną, przeto chcąc, by uniknęli tej przykrości braku posiadania pewnych przedmiotów, i chcąc prócz tego usunąć kradzież, trzeba znieść te prawa, które chronią cudzą własność, tak, jak się znosi prawa, chroniące nierozerwalność małżeństwa. Każdy jednak powie, że istnieją złodzieje nie dlatego, że stworzono takie prawa, lecz dlatego, że istnieje zła wola ludzka. — Nieporozumienia małżeńskie nie dlatego też powstają, że małżeństwa są nierozerwalne, lecz dlatego, że nie potrafią panować nad sobą

i ulegają swym zmysłom. Zmysły, karmione coraz nowemi podnietami, nietylko nie zdołaią się nasycić, ale przeciwnie żądają coraz nowszych podniet.

Starsze pokolenie, jako wychowujące młodzież, ma na nią wpływ; rodzicom zaś zawsze, normalnie biorąc, zależy na karnem wychowaniu młodzieży, choćby dlatego, że inaczej bicz kręcą na siebie samych, wyjątkowo zaś zdarzają się tacy rodzice, którym wszystko jedno, jakie będą ich dzieci. Otóż jakże w młodzież wpoi się przekonanie, iż trzeba dochowywać powziętych zobowiązań, jeśli od dzieciństwa raz w raz będzie spostrzegać, że starsi w sprawie najważniejszej, bo decydującej o. losie dzieci, zrywać mogą związki małżeńskie w najuroczystszych okolicznościach zawarte, jedynie dla zadowolenia osobistego? Drugi małżonek lub małżonka nie zastąpi rodzonej matki lub ojca, dlatego dziecko tu zawsze najdotkliwiej ucierpi. Chyba dla ironji przy rozwodach będzie można mówić o szczęściu rodzinnem.

Nie zapominajmy i o tem, że we wszystkich państwach, w których wprowadzono rozwody, liczba urodzin, i naturalny przyrost ludności coraz szybciej z roku na rok się zmniejszał, niewątpliwie to samo zjawisko nastąpiłoby i w Polsce, zresztą projektodawcy i zwolennicy rozwodów, jak np. literat Boy Żeleński, wyraźnie zaznacza, że chodzi tu o zmniejszenie „króliczej plenności Polek", przy jego też współudziale założono poradnię zapobiegania rozrostowi ludności.

Co stanie się z Polską za lat kilkanaście, o ile rozwody zostaną wprowadzone, a tego rodzaju instytucje będą działać, gdy Niemcy które posiadają przeszło 2 razy tyle ludności, co my, napadną na nasze granice, by odebrać nam Śląsk i Pomorze, na które otwarcie czyhają? Przecież gazety niemieckie piszą, że za lat kilkanaście, o ile Polska nie wprowadzi rozwodów, liczba ludności obu sąsiednich narodów zrówna się, a wtedy ustać musi parcie niemczyzny na wschód. Kto tedy popiera rozwody, ten sprzyja tem samem dążnościom zaborczym Niemiec.—Od wschodu znów mamy bolszewików, którzy mają 5 razy tyle ludności, co my. Czy Polska wyludniona wstrzymałaby taką nawałę? Zrobiliśmy to raz, bo Bóg błogosławił, ale wątpić można, czy pobłogosławi narodowi, który gwałci Jego prawa. Czyż chcemy, by bolszewik postrącał nam krzyże z kościołów, a ze świą-

tyń naszych poczynił domy rozpusty, jak to zrobił u siebie? Odepchnęliśmy dzicz bolszewicką w 1920 r., a dziś, jakby tego żałując, jej dzikie zasady zaszczepiamy u siebie. Widocznie walczyliśmy z ludźmi, ale uznajemy ich przewrotne zasady.

Na wprowadzeniu rozwodów najwięcej ucierpiałaby kobieta, która w małżeństwie ponosi skutki miłości. Wiadomo, że przez rodzenie dzieci i funkcje macierzyńskie kobieta prędzej się zużywa, niż mężczyzna, który dłużej zachowuje tężyznę życiową. — Kobieta, wychodząc za mąż, musi mieć ufność i pewność, że małżonek nie zerwie węzła małżeńskiego. Jeśli teraz ten węzeł się zrywa, to cóż będzie, jeśli rozrywający małżeństwo jeszcze będzie miał prawo za sobą. — Po 3, 5 czy 10 latach zawsze znajdzie się jakiś powód, by rzucić małżonkę, jeśli się sprzykrzy; usłużni a nieuczciwi prawnicy zawsze na to znajdą sposoby. Taka nieufność będzie mikrobem, który o śmierć przyprawi szczęście pożycia małżeńskiego.

Czy moglibyśmy bez obawy oddać swą ukochaną, może jedyną córkę w ręce obcego człowieka, jakim jest zięć, wiedząc, że wtedy, gdy straci posag naszej córki, gdy obarczy ją dziećmi, będzie miał prawo ją rzucić, kiedy pozna inną, która na jego zmysły oddziała? I gdyby nawet zabezpieczył przyszłość swej dawnej rodzinie, to jednak nie będzie to normalna i szczęśliwa rodzina bez ojca, męża i opiekuna. Wychowanie bowiem dzieci wymaga ciągłości i systematyczności; nie wystarczy powiedzieć dziecku, jak ma postępować, ale trzeba czuwać i wdrażać je do dobrego; mogą to uczynić tylko rodzice, a nie osoby postronne, chyba tylko w wyjątkowych wypadkach. I nie jest wykluczone, że córka nasza wraz z naszemi wnukami pójdzie na poniewierkę między ludzi, a nowa „żona", idąc ulicą może jej z szyderczym uśmiechem jałmużnę włoży do ręki. Wy zaś może zejdziecie wtedy ze świata i nie będziecie mogli ująć się za swem dzieckiem. Czyż niemożliwe są takie wypadki w kulturalnym narodzie?

W interesie więc naszym leży niedopuszczenie do rozwodów, czyli zachowanie nierozerwalności małżeństwa. Rozwody nietylko nie obdarzą szczęściem, ale spowodują morze łez i przekleństw. Zwolennicy rozwodów wybierają większe zło, by uniknąć mniejszego. Wprowadzenie rozwodów byłoby zarzewiem nieustannych niepokojów i podejrzeń, źródłem najokrop-

niejszych cierpień, źródłem nadużyć dla tych, którzy chcą rozwodu.

Twierdzą niektórzy, że trzeba wprowadzić rozwody, by ludzie nie wyrzekali się wiary. Cóż jednak wart katolik, który podeptał prawo Boże, by wiarę zachować; zachowanie wiary przez podeptanie jej zasad jest obrazą Boga; osoba, uważająca się za katolika, którąby zerwała małżeństwo, by pójść za inną osobą, jest martwym członkiem Kościoła i gniew Boży nad nią ciąży.

O ile więc ktoś nie czuje się szczęśliwym w małżeństwie ważnie zawartem, a upoważniają go słuszne powody do rozejścia się, jedno ma tylko wyjście może zwrócić się do władz kościelnych z prośbą o udzielenie katolickiej separacji, nie ma zaś prawa wchodzić w nowe związki małżeńskie, dopóki druga strona żyje.

Kościół nie może się zgodzić na wprowadzenie t. zw. ślubów cywilnych i rozwodów, bo zaprzeczyłby swej misji, jaką ma do spełnienia i tem samem musiałby wyrazić swą zgodę na rozbicie rodzin podczas gdy rodzinę otacza najczulszą opieką, na narażenie dzieci na brak odpowiedniego wychowania, które dać może tylko rodzina; musiałby zobojętnieć na losy społeczeństw, dla których jest ustanowiony i zaprzeczyć Słowom Chrystusa. „Co Bóg złączył, niechaj człowiek nie rozłącza".

Zastanawia nas nieraz, co jest źródłem tak uporczywych usiłowań niektórych kół wprowadzenia kontraktów cywilnych małżeńskich i rozwodów? Źródeł takich jest kilka. Omawianie jednak tych przyczyn za daleko odwiodłoby nas od niniejszych rozważań, wskażę więc tylko na jedno najistotniejsze źródło, z którego wszystkie następstwa pochodzą.

Wkrótce po zajęciu byłego zaboru rosyjskiego przez okupantów niemieckich ukazała się w języku niemieckim broszura, napisana przez pewnego żyda, nazwiskiem Kaplun Kagan, syna rabina ze Lwowa, broszura omawiająca stosunki polsko-żydowskie w tej części Polski. Autor dowodzi tam, że teren Królestwa z Warszawą włącznie powinien być ze względów etnograficznych i gospodarczych oddany żydom, by tu utworzyli swoje państwo. Dowodzi dalej, podając wykazy statystyczne, że w r. 1906 na 1000 Polaków rodziło się 38,6 dzieci, a na 1000 żydów tylko 26. W dwa lata zaś później na 1000 Polaków 39,3 dzieci, a na taką samą ilość Żydów 27,9 dzieci, czyli ilość dzieci pol-

skich była większa o 11 niż żydowskich. Taki stan rzeczy — oczywiście zatrwożył Kagana i jego współwyznawców, którzy widzieli że ta bujność rozrostu Polaków rychło wpłynie na podważenie interesów żydowskich, trzeba więc było, by kahały obmyśliły środki na zmianę tego niebezpiecznego dla żydów objawu. Żydzi zaś, mający na swe usługi prasę i złoto, potrafili nadać taki obrót sprawom, że dziś wielu gojów domaga się ograniczenia urodzeń.

Podziwiać należy bezczelność i tupet tego narodu. Zydzi przybyli do nas z zachodu, gdzie byli prześladowani i torturowani po barbarzyńsku. Dobrotliwi królowie polscy okazali im wiele współczucia i nadając różne przywileje, pozwolili im osiedlać się ze szkodą dla żywiołu tubylczego w Polsce. Pierwsza fala żydów przyszła do nas już w XI w.

Wiadomo, że już są za Mieczysława Starego fałszują monety, wypuszczając blaszki z napisem hebrajskim, t. zw. brakteaty. Najmniej zaś stosunkowo przybywa ich w XIV w. za Kazimierza Wielkiego, tak że niesłusznie króla tego uważa się za opiekuna żydów; największa zaś ich fala objęła Polskę na przełomie XIV i XV w., za Kazimierza Jagiellończyka, który pozwalał Żydom osiedlać się na ziemiach polskich. Z czasem opanowali szlachtę. Józef Frank, słynny działacz żydowski, zresztą później nawrócony na katolicyzm, mawiał: „Szlachta polska jest głupia, ale dobra, a takiej właśnie nam potrzeba”. Dziś to samo możemy powiedzieć o wielu Polakach.

Chociaż żydów, jak wykazał ostatni spis ludności, jest około 12%, to jednak stosunki w Polsce kształtują się według ich woli. W bezczelności swojej Żydzi uważają, że oni winni dyktować nam prawa, co też i czynią przy pomocy wielu Polaków, nas zaś, tubylców od wielu lat mieszkających na tej pięknej ziemi, uważają za swych parobków. — Obowiązkiem naszym jest przeciwstawić się tym zakusom, bo g. 12-ta już wybiła.

Na najbliższe więc miesiące programem nas katolików jest niedopuszczenie do rozwodów i uświadomienie opinji polskiej, że największą pewność szczęścia może nam dać małżeństwo, oparte tylko na zasadach katolickich.

Na dalszą zaś metę, by złu, w przyszłości grożącemu zapobiec, trzeba od podstaw rozpocząć, t. j. od pogłębienia życia religijnego w rodzinach i od wychowania dzieci w dobrze zro-

zumianych zasadach katolickich. Wytworzyć należy odpowiedni pogląd na cel życia, którym jest nie egoistyczne szczęście, ale dobro społeczne i spełnienie powinności, jakie Bóg na nas nakłada.

Wytworzenie zmysłu katolickiego w większości narodu będzie najlepszym środkiem udaremnienia w przyszłości podobnych reform. W społeczeństwie, w któremby istniała zdrowa i silna opinja katolicka, podobne ataki na rodzinę nie mogłyby mieć miejsca, bo nie znalazłyby zwolenników. Wszelkie zaś inne środki naszej obrony nie będą miały trwałej wartości, o ile nie oprzemy ich na głębokiem zrozumieniu istotnych zasad katolicyzmu. *Feliks Jan Szafjański.*

Akcja apostolska Kościoła w piątym wieku.

Wystawne budowy kościołów, podjęte w Lionie, w Tours, w Clermont przez biskupów Paienta, Perpeta, Namacjusza przypadły na chwilę zbliżenia się barbarzyńców. Kościół gallijski, zawsze pogodny, okazał się wobec tego cyklonu bardziej przedsiębiorczy niż kiedykolwiek. Bolesne tylko, że z tego pięknego wysiłku architektonicznego nic nie pozostało. Rzym, Rawenna, Katalonja zachowały budowle religijne z V wieku; na piaskach afrykańskich ocalały ruiny bazylik, Francja natomiast posiada jedyny ślad tej epoki w postaci napisu, dotyczącego wzniesienia pewnej bazyliki w okolicy miasta Narbonne. Jeśli jednak chrześcijaństwo gallorzymskie V wieku nie zdołało się uwiecznić w kamieniu, to przecież piętnem swojem naznaczyło trzy dni roku. Około roku 470 święty Mamert, biskup miasta Vienne, zorganizował trzy dni publicznych modłów i postów, odprawianych raz w roku. Rzym około roku 800 uświęcił ten zwyczaj, a świat katolicki naszej doby odprawia procesje według myśli świętego Mamerta.

Mnożące się wiejskie kościoły nie zrażały się wandalizmem barbarzyńców, taki święty Ruryk w Limoges, a święty German w Auxerres, to wielcy budowniczowie. Dzieło świętego Marcina rozszerzało się na ziemiach Turenu, a w ziemi andegaweńskiej w roku 453, istniała już spora liczba kościołów wiejskich. Na

krzyżowaniu wielkich gościńców tworzyły się osady chrześcijańskie, w dobrach, należących do kościołów miejskich i przy dworach wielkich właścicieli ziemskich. Inicjatywa takiego pustelnika wznosiła nie jedną kaplicę, zwaną oratorium, z której powstawały kościoły, a potem parafje; takie nazwy miejscowości, jak Oradour, Onzoner, Ozoir, Louroner, uwieczniły pamięć istniejącej w nich ongiś kaplicy. Kiedyindziej tłumaczy się fakt budowy kościołów pragnieniem uwielbienia Chrystusa na miejscu dawnej świątyni pogańskiej. Święty Mauryl, pustelnik andegaweński, święty Orjemjusz z Auch, święty Wigor z Eureux lubowali się w tego rodzaju zwycięstwach, wywłaszczając złego ducha, za którego uważali bóstwo pogańskie, budowali dom boży Chrystusowi. Inna znowu pobudka, także o zabarwieniu pobożnem, kazała tworzyć około grobu męczennika lub świętego czy też na miejscach, któremi chodził jaki święty, lub gdzie działał cuda, ośrodki życia chrześcijańskiego, tak żywo tętniącego, że stanowiły podstawę wiejskich parafij. Nabożeństwa te przeciwdziałały propagandzie manichejskiej, która zarzucała Zachód apokryfami o powstaniu chrześcijaństwa. Legendy o męczennikach, żywoty świętych szczęśliwie przeciwważyły wyobraźni ludu działalność kolpolterów manicheizmu, a jednocześnie uprzystępniały duszom pewne pojęcie ideału chrześcijańskjego, popularne zaś obrazki tłumaczyły w wizjach heroicznych rady ewangeliczne.

Groza nawały barbarzyńskiej nie odbierała Kościołowi gallorzymskiemu ochoty twórczej w czasie burzy. Zaznawszy od czasów Konstantyna światła słonecznego i słodkiego rozpędu w oświecaniu dusz nie mógł się zgodzić na zawieszenie czynności. Od roku 323 Kościół uzyskał prawo własności, dobra kościelne wzrastały, biskupi jak Hilary z Arles, jak Entrop z Orange, osobiście na nich gospodarzyli. Nie mogło się wszakże jeszcze mienie Kościoła gallijskiego mierzyć z rozległemi włościami Kościołów w Rzymie, Antiochji i Aleksandrji, niemniej otrzymywał te fundacje właścicieli, wyzbywających się majątków wobec niebezpieczeństwa najazdów. Tak nieszczęście polityczne obróciło się na korzyść Kościoła.

W tych nieszczęśliwych warunkach okazał Kościół dość żywą gotowość do rozkrzewienia się poza Galją. Pomyślnie przekroczył kanał, by zwalczać herezję, pleniącą się po tamtej stronie. Między rokiem 410 a 450 kształcił się w klasztorze leryń-

skim, a później pod kierunkiem dwu biskupów miasta Auxerre, świętego Amatora i świętego Germana, młody wieśniak brytański, nazwiskiem Patryk, w zamiarze poświęcenia się służbie bożej. Uszedłszy z Irlandji, dokąd w chłopięcym wieku piraci uwieźli go w niewolę, wzamian za odzyskaną wolność poświęcił się życiu klasztornemu i kościelnemu, wrócił w 423 r. do Irlandji jako gotowy apostoł, nie jak poprzednio jako niewolnik, ale jako oswobodziciel dusz. Święty Patryk miał to szczęście, że w niespełna 30 latach nawrócił ziemię Irlandzką, a Kościół gallo-romański chlubić się może zasługą, że przygotował w jego osobie pierwszego misjonarza dla misyj zagranicznych.

Ks. Dr. St. Abt.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Kościół a zagadnienia gospodarczo-społeczne.

W drugiej połowie XIX wieku kryzys gospodarczo-społeczny począł przybierać coraz groźniejszą postać. We wszystkich państwach europejskich szerzył się socjalizm, który na swoich krwawych sztandarach wypisał hasło zniszczenia nietylko kapitalistów, lecz i cywilizacji chrześcijańskiej. Marx i jego epigoni otwarcie głosili, że im prędzej nędza wśród robotników osiągnie swoje maximum, to tem rychlej runie dotychczasowy porządek społeczny. Nie trzeba dodawać, że podobne rachuby na ludzką niedolę były objawem perfidji i całkowitego zaniku uczuć moralnych. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej nędznego moralnie jak judzenie robotników przy jednoczesnem biernem przyglądaniu się ich biedzie i oczekiwaniu czy rychło nadejdzie moment kiedy masy doprowadzone głodem runą i w bratobójczej walce utopią zdobycze kultury europejskiej. Podobna myśl mogła się zrodzić jedynie w przepojonej nienawiścią mózgownicy żyda, Marxa; aryjczyk na coś podobnego by się nie zdobył. Niestety, socjalizm, natrafiwszy na podatny grunt, ciężkich warunków socjalnych począł się szerzyć z zatrważającą szybkością. Niepodobna było się spokojnie przyglądać, jak rośnie czerwone nie-

bezpieczeństwo, a zwłaszcza Kościół katolicki, który cywilzację europejską ochronił przed najazdem wschodnich barbarzyńców, który w epoce średniowiecza dał jej podstawy rozwoju, nie mógł zostać beztroskim widzem.

W roku 1878 na Stolicę Piotrową wstąpił Ojciec Święty Leon XIII, postać opatrznościowa, opromieniona zarówno nimbem miłości, jak i niepospolitej mądrości. Autorytet jego był uznawany, zarówno przez wiernych, jak i inowierców. Tak np. Niemcy wzięły go za superarbitra w sporze z Hiszpanją. Największym jednak tytułem do wiecznej czci i pamięci wiernych była jego słynna „Encyklika Rerum Novarum", ogłoszona w Rzymie w dniu 15 maja 1891 r. Jest to data historyczna, przełomowa w światowej polityce społecznej. Socjalistycznej nienawiści — został przeciwstawiony program realnej pracy dla dobra i podniesienia ludu roboczego. Encyklika stała się sztandarem, koło którego skupili się myśliciele, ekonomiści i działacze katoliccy; wywarła ona pośredni wpływ i na doktrynę socjalistyczną, którą zmusiła do porzucenia ortodoxyjnego stanowiska; socjaliści wprawdzie nie wyrzekli się nienawiści, lecz aby nie stracić wpływu na masy przystąpili za przykładem katolików do zakładania związków zawodowych.

Encyklikę „Rerum Novarum", każdy katolik powinien znać. „Pro Christo" pisało o niej niejednokrotnie, nie będę się więc nad nią dłużej zatrzymywał, przypomnę jedynie ważniejsze punkty. Ojciec św. przedewszystkiem zaznaczył dla czego głos zabiera, przyczyną to, że wielka część ludzkości jest w biedzie i nędzy niegodnej człowieka; bierze sprawę robotników, których w rozbiciu i bezbronności duch czasu oddał na łup nieludzkości panów i nieokiełznanej chciwości współzawodników w swoje ręce". Głos zabrał „w poczuciu swego prawa i w przeświadczeniu, że jemu na pierwszem miejscu jest powierzona piecza o religję i nadzór nad sprawami ściśle z nią związanemi". Sprawy społecznej zaś, „się skutecznie nie rozwiąże, o ile się nie przyzwie religji i Kościoła na pomoc". „Kościół dobywa z Ewangelji nauki, które taką mają moc, że walkę społeczną mogą doprowadzić do porozumienia, albo przynajmniej odjąć jej ostrość, uczynić łagodniejszą; Kościół nietylko umysł oświeca, ale stara się jeszcze pokierować życiem i obyczajami jednostek za pomocą przykazań swoich". Najbardziej brzemienną w skutkach ideą Encykliki

była myśl organizowania związków robotniczych, które mają dostarczyć robotnikom najskuteczniejszych środków do rozwoju dóbr duchowych, cielesnych i materjalnych. Podkreślił Leon XIII z całą stanowczością, że podstawą tej pracy musi być jednak udoskonalenie religijno-moralne. „Gdy się bowiem religję uczyni podstawą wszystkich praw w stowarzyszeniu, łatwo będzie uzgodnić stosunki członków do siebie, żeby panował pokój a stowarzyszenie pomyślną rozwijało działalność".

Dalej wykazał Ojciec św. błędy doktryny liberalnej i socjalistycznej. Wystąpił zwłaszcza gorąco w obronie własności, której zniesienie nie tylko nie wyszłoby na korzyść warstwy robotniczej, lecz stałoby się jej zagładą. Żąda, aby robotnik miał płacę, którąby starczyła nie tylko na wyżywienie jego i rodziny, lecz pozwoliła mu drogą oszczędności dojść do skromnego majątku. W miarę tego jak liczniejsza część ludności zdobędzie majątek, będzie następować, słuszniejszy rozdział dóbr doczesnych, a przepaść różnic klasowych będzie malała.

Encyklika sprawiła wiele dobrego, cały szereg jej tez stało się dorobkiem nietylko katolickiej, ale i ogólno-ludzkiej nauki. Dzięki niej powstał wielki ruch chrześcljańsko-społeczny. Idea związków robotniczych została zrealizowana w olbrzymich rozmiarach, dzięki nim zostały wywalczone prawa klasy robotniczej. Powstał dalej cały szereg kas oszczędnościowych, które za zadanie mają ułatwić zdobycie bytu niezależnego robotnikom; dzięki groszowym wkładkom powstały duże nieraz kapitały.

Od wydania Encykliki „Rerum Nowarum" upłynęło czterdzieści lat, przeszła wojna europejska, ale jest kryzys wszechświatowy, ekonomiczny, dokuczliwszy, od wielu poprzednich. szerzy się bezrobocie i inne straszliwe klęski społeczne i oto z wyżyn Stolicy Apostolskiej rozlega się głos Ojca świętego Piusa XI, wielkiego następcy Leona XIII. Encyklika „Quadragesimo anno jest wymownym dowodem troski Kościoła o los wiernych. Czterdzieści lat to szmat czasu, wiele się na świecie zmieniło i jakkolwiek nauka Leona XIII w życiu społeczeństw odegrała wybitną rolę, i wyszły na jaw wszystkie jej niespożyte walory, jednakże nowe warunki żądają pewnych korektur działania i uzupełnień. Temu celowi jest poświęcona Encyklika „Quadragesimo Anno"—wymowny dowód ustawicznej troski Kościoła o los wiernych. Nawiązuje ona przedewszystkiem do tradycji „Rerum No-

varum", wyliczywszy wszystkie jej dobrodziejstwa, przypomina jak to początkowo „szlachetna i szczytna nauka Leona XIII, dla uszu świata zupełnie nowa, wprawiła nawet niektórych katolików w podejrzenie, dla innych stała się nawet kamieniem obrazy. Zburzyła ona bowiem śmiało bożyszcza liberalizmu, starła z ziemi stare przesądy i uprzedziła nieoczekiwanie rozwój wypadków, tak, że ociężali sercem odrzucili wzgardliwie tę nową filozofję społeczną, a tchórzliwi i bojaźliwi bali się wstąpić na nowe szczyty. Byli tacy, którzy światło to podziwiali, lecz uważali je raczej za wytwór fantazji, której urzeczywistnienia można pragnąć, spełnienia jednak nigdy spodziewać się nie należy". Życie wykazało całą bezpodstawność tych obaw. Rozprawia się natomiast Ojciec święty Pius XI z oszczerczym zarzutem, że Leon XIII popierał warstwy posiadające, ze szkodą proletarjatu. W rzeczywistości zaś, Wielkiemu Papieżowi najbardziej leżało na sercu wyzwolenie ludu roboczego z nędzy, chciał to osiągnąć przez sprawiedliwszy podział dóbr doczesnych i sprawiedliwą zapłatę za pracę robotnika. Potężnym środkiem prowadzącym do tego celu miały się stać organizacje pracowników i pracodawców. Pius XI uznając całkowicie poglądy i metody swego poprzednika idzie o krok dalej, żąda reformy urządzeń państwowych w duchu korporacyjnym. Winna przedewszystkiem ustać „walka klas", jej miejsce niech zastąpi „współpraca stanów", do których należałoby się nie ze względu na zajęcie na rynku pracy, lecz ze względu na funkcję społeczną, którą się pełni". Członkowie jednego zawodu czy rzemiosła tworzyć będą autonomiczne korporacje. Wszystkie zaś te korporacje, czy stany mają przedewszystkiem troszczyć się o dobro publiczne. Ponieważ liberalizm gospodarczy okazał się zgubny, należy życie ekonomiczne poddać zasadzie organizacyjnej, a przedewszystkiem sprawiedliwości i miłości społecznej. Odnowienie, przebudowanie ustroju społecznego w myśl powyższych zasad może nastąpić jedynie po uprzedniem odrodzeniu moralnem. Głównem bowiem źródłem zła jest: „spustoszenie dusz", nadmierna żądza doczesnych dóbr, do których się dąży bez względu na środki i sumienie. Za cel należy sobie postawić przekształcenie życia gospodarczego w duchu chrześcijańskim. Społeczeństwo musi zrozumieć, że dobra doczesne to tylko środki, z których korzystać wolno o tyle, o ile do najwyższego celu prowadzą. Można

zdobywać majątek, ale z tym zastrzeżeniem, aby nie gwałcić przykazań Bożych, praw bliźniego i używać tych bogactw stosownie do zasad wiary i rozumu.

Przestrzegając zasad sprawiedliwości społecznej, nie wolno zapominać o jednem, że sama ona niewystarcza, musi być oparta na fundamencie miłości, ta dopiero trwale złączy serca i umysły. „Prawdziwa zatem współpraca wszystkich dla dobra ogólnego powstanie dopiero wówczas, kiedy poszczególne warstwy społeczeństwa mieć będą wewnętrzne przekonanie, że są członkami jednej wielkiej rodziny i dziećmi tego samego Ojca Niebieskiego". „Wtedy bowiem bogaci i wpływowi ludzie, zbyt długo obojętni na los mniej szczęśliwych braci, czynem okażą im troskliwą miłość, życzliwie przyjmą ich żądania, wybaczą im chętnie w razie potrzeby winy i uchybienia. Robotnicy ze swej strony jeszcze wyrzekną się uczuć nienawiści i zawiści, na których, tak umiejętnie żerują agitatorzy walki klasowej, chętnie zajmą miejsce wyznaczone im w społeczeństwie przez Opatrzność Bożą, wiedząc, że każdy, który wypełnia swój obowiązek, pożytecznie i zaszczytnie współpracuje dla dobra ogólnego i że zbliska idzie w ślady tego, który będąc Bogiem, cieślą chciał być wśród ludzi i za syna cieśli uchodzić". Powyższe słowa Ojca świętego, Piusa XI tchną wielką miłością ewangieliczną do wszystkich ludzi i stanowią może najpełniejsze skrystalizowanie troski Kościoła o los powierzonych mu owieczek, niemi pragnę zakończyć ten historyczny szkic o stosunku katolicyzmu do zagadnień gospodarczo-społecznych.

Skonstatowaliśmy jedno: począwszy od czasów apostolskich, a skończywszy na świetlanej postaci miłościwie nam panującego obecnie Ojca świętego, snuje się poprzez wszystkie poczynania Kościoła myśl o wiernych, którym spieszy zawsze i wszędzie z ojcowską radą i samarytańską pomocą. Ta wielka miłość i wszechogarniające miłosierdzie sprawia, że wszyscy wierni czują, że jest jeden prawdziwy pasterz i jedna owczarnia.

Zygmunt Prószyński.

Na marginesie sprawy żydowskiej
Czy Palestyna?*)

Potrzeba znalezienia ośrodka koncentracyjnego dla żydów, stworzenia państwa żydowskiego, jest niewątpliwą w interesie zarówno samych żydów, jak i reszty świata, a w szczególności chrześcijaństwa. Taka koncentracja i takie państwo niezawodnie przyśpieszy uzdrowienie, społeczne, narodowe i moralne żydów, a nadewszystko ich nawrócenie, a więc ostateczne rozwiązanie tej bolesnej sprawy narodu odtrąconego i zbłąkanego, będącego zaczynem najgorszej, najniebezpieczniejszej fermentacji w świecie, - utrudniającej moralne odrodzenie i podniesienie ludzkości, i religijne zjednoczenie,— w jednej prawdziwej religji Chrystusowej Kościoła Rzymsko-Katolickiego.

Trzeba wziąć pod uwagę, że w przeciwieństwie do innych narodów, które się łatwiej asymilują w rozproszeniu, żydzi zatwardzieli w swej nienawiści do reszty świata, a do chrześcijaństwa w szczególności, właśnie w djasporze zbrojni tą nienawiścią, — jak najbardziej się oddalają od możliwości masowego, a szczerego nawrócenia.

Tak koncentracja i państwo żydowskie na własnym gruncie, — to rzecz konieczna.

Czy to ma się stać na gruncie Palestyny?

Spójrzmy jak na tę rzecz patrzy Sjonizm,—jedyny oficjalny ruch żydowsko-palestyński:

„Sjonizm dąży do stworzenia w Palestynie dla narodu żydowskiego ojczyzny zagwarantowanej przez prawo publiczne (międzynarodowe)".

Tak sformułował oficjalne swoje dążenia Sjonizm na pierwszym swoim kongresie w Bazylei w r. 1897, (na którym zresztą tajnie były przyjęte „Protokuły Mędrców Sjonu", odkrywające o wiele głębsze i bardziej pyszne dążenia). Formuła ta ujawnia nam właściwe, publicznie ogłoszone zadania Sjonizmu,—stworzenia państwa żydowskiego w Palestynie,—z czego wynika dalsze hasło:

Palestyna dla żydów.

Jak zaznaczyliśmy dążenie do stworzenia własnego państwa przez żydów jest rzeczą istotnie uprawnioną, dla całego świata korzystną, dla samych żydów zbawienną. Koncentracja

*) Artykuł dyskusyjny.

żywiołu żydowskiego i to całkowita koncentracja na własnem terytorjum państwowem — oto właściwe zadanie. Postawienie żydów na równej stopie z innemi narodami i postawienie państwa żydowskiego na równej stopie z innemi państwami,—jedyna droga, radykalnego uzdrowienia narodu żydowskiego i uwolnienia innych narodów od ich zakażającego i gniotącego ciężaru.

Lecz czy istotnie tym ośrodkiem koncentracyjnym — tym terenem żydowskim,—tem państwem żydowskiem ma być Palestyna? — Czy nawet może być?

Zarówno ci nieliczni żydzi, którzy reprezentują szczery i zdrowy nacjonalizm żydowski, jak i ci fanatyczni szowiniści, którzy dążą do ośrodka państwowego jako do podstawy dla swego władztwa wszechświatowego, a którzy reprezentują ogrom siły i finansowej i organizacyjnej,—za bezspornie własny teren uważali i uważają Palestynę.

Działalność tych ostatnich Sjonistów plutokratycznych i politycznych mocarzy judaistycznych osiągnęła swoje cele.—Konferencja w San Remo 24 kwietnia 1920 r. narzuciła Turcji w traktacie pokojowym klauzulę, na mocy której stworzone zostało ognisko narodowe żydowskie w Palestynie poddane pod opiekę mandatową Wielkiej Brytanji. Tak został stworzony zawiązek państwa żydowskiego w Palestynie.

Zawiązek ten jednak nie ziścił dalszych nadziei jego twórców,—i po dziesięciu latach doszło wreszcie do tego, że opiekunka Palestyny Anglja tamuje imigrację żydowską do Palestyny, — czyli jednem słowem zdecydowanie kładzie tamę kształtowaniu się państwa żydowskiego i ośrodka koncentracyjnego w Palestynie.

Obraz tego państwa blednie, niknie i rozwiewa się jak miraż. Idea była złudzeniem. Palestyna nie jest terenem obojętnym, — ani ziemią bezpańską, którąby można było jednym podpisem dokumentów dyplomatycznych wyznaczyć na miejsce osiedlenia jakiemubądź narodowi. Właściwi, dzisiejsi posiadacze Ziemi Obiecanej, jej ogromnie przeważający mieszkańcy, muzułmańscy arabowie, założyli zdecydowane weto,— i zorganizowali konsekwentny, a wytrwały opór przeciwko próbie wydziedziczenia,—oraz narzucenia im obcego, a nieznośnego żywiołu.

Kłopoty rządu Wielkiej Brytanji wzrosły, kiedy projekt palestyński okazywał się coraz bardziej nierealnym, chimerycznym,

— kiedy muzułmanie przyjąwszy nieprzejednaną postawę, musieli iść coraz bardziej w cenie dla polityki angielskiej, — aż wreszcie cena ta na szali wag Brytyjskich musiała przechylić się na korzyść Arabów.

Palestyna nie jest terenem obojętnym. Przeciwnie politycznie posiada ogromną wagę dla całego świata wogóle, a dla Wielkiej Brytanji w szczególności. Palestynę pod pewnym względem można nazwać ośrodkiem świata. — Maleńki ten kraik, to płaskowzgórze, jest poniekąd węzłem wiążącym trzy kontynenty starego świata, oraz strażnicą krzyżujących dróg i to dróg zarówno lądowych jak i morskich. Jest to jedyne połączenie lądowe Eurazyj z Afryką, a zarazem wrota kanału Sueskiego. Na tym skrawku ziemi zawisła potęga Imperjum Wielkiej Brytanji. Całe powołanie, cała misja dziejowa Anglo-Brytów, którą tak sobie wyolbrzymili i z której tak są dumni zbiega się w tym koncentracyjnym punkcie. Wszystkie dominja, kolonje i wpływy afrykańskie tu mają swój jedyny łącznik lądowy z takiemiż kolonjami i wpływami azjatyckiemi. Pod bokiem tego kraju wody dwu mórz i dwu oceanów drogą najkrótszą prują stalowe olbrzymy handlowej i wojennej floty Wielko-Brytyjskiej.

Kto dzierży Palestynę, - ten dzierży węzeł łącznikowy światów, ten posiada klucze najważniejszych spraw geograficzno-politycznych.—-To też Anglja nie mało wytężonych uczyniła wysiłków i w ogniu walk wojny wszechświatowej i w krzyżowych zabiegach sztuki dyplomatycznej powojennych kongresowych narad, ażeby Palestynę uchwycić w swoje ręce

Nie może więc być obojętnem, ani dla Anglji, ani dla jej sojuszników, lub przeciwników, kto będzie zasiedlał tę ziemię obiecaną, kto będzie jej władaczem; — jednem słowem kto będzie odźwiernym i klucznikiem.

Że judaita chętnieby, nietylko ze względu na tradycje narodowe i religijne, ze względu na „Ścianę płaczu" szczątki murów Świątyni Salomona, ale i ze względu na przyszłe wielkie korzyści mniej idealne, ale za to więcej namacalne posiadł tę ziemię — to niewątpliwe; ale czy Anglja, a także i świat cały mieliby z tego korzyści, — to więcej niż wątpliwe.

Anglicy zrazu dali się złudzić potentatom finansowym i swoim lordom żydowskiego pochodzenia. Zresztą mogło to być nawet doraźnie poręczne i wygodne w grze dyplomatycznej

o uzyskanie Palestyny prowadzonej z innemi narodami. — Uzyskali mandat i zrobili próbę. — Ale jak próba wypadła, dziś po dziesięciu zgórą latach możemy to naocznie sprawdzić. Nawet socjalistyczny rząd Mac Donalda ze swemi humanitarnemi frazesami obrazu tego nie przekształcił.

Poparcie żydowskiego żywiołu wątpliwej dla Anglji wartości, — odtrąca i uzbraja przeciwko niej niewątpliwie cenny ogromny żywioł muzułmański. Wyboru nie ma, Brytanja wcześniej lub później musiała pójść na rękę muzułmanom. I będzie musiała iść dalej.

Mogą być jeszcze rozmaite wahania, tłómaczenia, zabiegi, jak te, które w roku ubiegłym wydobywał dr. Weizman, ale to pewna, że zarówno dzisiejsi jak i jutrzejsi kierownicy polityki wielkobrytyjskiej nie będą mogli dla chimerycznych marzeń żydowskich narażać swoich wpływów i swojego autorytetu w świecie muzułmańskim. I tutaj nic nie pomogą nietylko lord Rotszyld, czy lord Reading, czy sam dr. Weizman, lub mały skryty galicyjski żydek Namser z Foreigne Office, ale nawet największe alarmy i zabiegi podobne do zaprzeszłorocznych amerykańskich. — Zresztą zdaje się, że sami żydzi zrozumieli to bo pomimo burzy na ostatnim zeszłorocznym zjeździe Sjonistycznym, pomimo wyraźnego wotum nieufności dla kierunku pro-angielskiego odgrażanie się prasy na temat odebrania mandatu anglikom ostatecznie zamilkli i schowali dudy w miech.

Nic dziwnego. Sprawa mocą konieczności politycznych i logiki dziejowej idzie swoją drogą. — Palestyna stopniowo zamyka się przed żydami i niedługo zamknie się na głucho, bo restrykcje „Białej Księgi",—i uchwały kongresów muzułmańskich, to tylko pierwsze kroki. A zresztą i sami żydzi nie są skwapliwi w przesiedlaniu się do ziemi „ojców swoich", — statystyka wykazuje że w ciągu ostatnich pięciu lat w Palestynie osiedlała się, pozostawała śmiesznie mała cyfra 2.000 żydów rocznie.

Pomimo dużego hałasu widocznie jest ociąganie się i wahanie.

Tak: — z punktu widzenia bieżącej polityki międzynarodowej Palestyna jest nie dla żydów.

Ale jest jeszcze inna stokroć ważniejsza strona nie tylko na miarę lat lub stuleci brana, — ale na miarę wieczności, — naznaczona wolą wyższą, — wszechmocną i nieskończoną.

Od chwili kiedy na górze Kalwaryjskiej dokonała się Męka Boga,—żydzi stracili Palestynę,—stracili bezpowrotnie. To już nie czasowe zegnanie nad „rzeki Babilonu", to już odtrącenie na zawsze. Zbrodnia dokonana przez naród żydowski pociągnęła za sobą wykonanie wyroku sprawiedliwości Boskiej.

Palestyna przestała już być Ziemią Obiecaną dla żydów— stała się Ziemią Utraconą,—ale za to dla nas Chrześcijan stała się Ziemią Świętą. I niemało wysiłków i trudu i pracy, — męczarni i krwi rozlewu, ofiar pokoleń i narodów ponieśliśmy my chrześcijanie, ażeby ją zdobyć, zdobyć tę Ziemię Świętą.— Odzyskać Grób Zbawiciela. — Jeden wiek tych ofiar i trudów był większym, aniżeli wszystkie marzenia i wysiłki wiecznie buntującego się narodu żydowskiego.

O Ziemię Świętą walczymy my i dziś i dziś ją zdobywamy, zdobywamy co dnia u stóp Ołtarzy Kościołów naszych i w duszach naszych, w płomieniu modlitw i w walce wewnętrznej, w mozolnym trudzie opanowania etyki chrześcijańskiej, — przykazań Boga Zbawiciela. I wtedy kiedy przed wiekami lądem i morzem biegły krzyżowe zastępy ażeby glebę Palestyny skropić krwią swoją,—i dziś kiedy chcemy wszystko odnowić w Chrystusie, walcząc z sił ciemnych zalewem i własną niemocą, — walczymy o Ziemię Świętą.

Żaden prawdziwy chrześcijanin nie zgodzi się, ażeby oddać żydom Palestynę—Ziemię Świętą, Ziemię kolebki żywota i grobu Pańskiego.

Żydzi tej Ziemi nie odzyskają nigdy, — odzyskać mogą wtedy kiedy się staną chrześcijanami, — a więc przestaną być żydami.

Stolica Apostolska protestowała przeciwko eksperymentowi palestyńskiemu, przeciwko oddaniu Ziemi Świętej żydom: — i słusznie, albowiem bezspornie władać w tej Ziemi, mieć ją pod swoją opieką, mógłby tylko Namiestnik Chrystusowy. — Nie tak dawno rozchodziła się pogłoska o możliwości oddania mandatu palestyńskiego Ojcu Świętemu. — Czy to już teraz może nastąpić, — i czy to nawet byłoby wskazanem w obecnej chwili i w dzisiejszej formie,—wątpię. Cały układ mandatowy i sprzęgnięcie go z żydowsko-sjonistycznemi zamierzeniami jest zasadniczo sprzeczne z duchem dążeń świata chrześcijańskiego, ka-

tolicyzmu i Stolicy Apostolskiej — Pewnem jednak jest, że przyjdzie dzień, w którym Ziemia Święta znajdzie się pod opieką Głowy Kościoła.

Tymczasem z mocy wyroku Boskiego same ludzkie i zwykłe siły konieczności politycznych pracują przeciwko żydowskim zakusom, coraz bardziej rozwiewają palestyńskie złudzenia sjonizmu.

Są pewne prawa moralne w dziejach, których ominąć nie można. W ciągu wieków nagromadza się kapitał z czynów ujemnych lub dodatnich, który oddziaływa na dalsze wieki. Żydzi, naród bogobójczy, z całą swoją etyką nienawiści i zaciekłości dość nabroili, dość nagromadzili kapitału moralnie ujemnego, ażeby on na nich zaciążył przekleństwem, — chrześcijańskie narody dość nagromadziły kapitału dodatniego w wysiłkach ofiary, poświęcenia i czynu dla ideału Chrystusowego, w dążeniu do dróg Boga Zbawcy, ażeby mieć ułatwioną dalszą drogę swej wędrówki dziejowej.

Wprawdzie dziś chrześcijańskie narody przeżywają okres kryzysu moralnego i religijnego, grubego zmaterjalizowania a razem z tem i duchowego zażydzenia, — ale niemniej nadejdzie dzień, kiedy kryzys ten zostanie pokonany, kiedy otrząśniemy się z tej zmory,—świat chrześcijański odetchnie i razem z tem odzyska Ziemię Świętą.

Cóż zatem pozostaje żydom?

Byłaby droga najprostsza i bezpośrednio jedyna,—szczere głęboko odczute i zrozumiane nawrócenie, przejście do chrześcijaństwa,—na łono Kościoła Katolickiego. Tą drogą odzyskaliby Ziemię Obiecaną, tę doczesną Palestynę i tę wieczną u stóp Tronu Bożego. Wołałbym głosem wielkim do nieszczęsnych zbłąkanych braci, gdyby nie to, iż wiem, że wołanie to zagłuchnie bez echa, pozostanie próżnem.

Zostaje droga pośrednia, żydzi judaici, żydzi talmudyści, nazwani starozakonnymi, naród żydowski z rasy i religij, nałogów moralnych i konstrukcji duchowej, winien wszystkiemi siłami dążyć do zgromadzenia się na jednem bezpośrednio własnem terytorjum, — własne na równi z innymi założyć państwo. Może się ono nazywać Nową-Palestyną, choć to nie będzie dawna Palestyna, —Ziemia Święta. Może to być „Uganda“, czy jakiś

inny skrawek kontynentu czarnego, czy czerwonego. Jeszcze tych skrawków nieco znaleść można. Ale czas leci, glob ziemski coraz bardziej parceluje się i zaludnia. Trzeba śpieszyć.

Żydzi, jeżeli nie chcecie być narodem parjasów, narodem zewsząd wypędzanym, pogardzanym, pomiatanym i znienawidzonym, — narodem żydem wiecznym tułaczem porzućcie marzenia o władztwie wszechświatowem, porzućcie marzenia o Palestynie Nadjordańskiej, dążcie do własnej, bezspornie własnej „Ugandy".

Niech was to nie zaślepia, że jesteście w chwili swego tryumfu,—tryumfu zresztą wyraźnie już załamującego się, tryumf mija, chwila mija, czas nagli, ziemi coraz mniej, a nienawiści do was z każdym lat dziesiątkiem będzie coraz więcej. Tej nienawiści którąście sami zasieli i której odstraszający przykład daliście w Rosji Sowieckiej.

Żydzi, dążcie do własnego skrawka ziemi bez arabów do własnego państwa bez Anglji, do własnej „Ugandy" — narody chrześcijańskie pomogą wam.

Tak, narody chrześcijańskie pomóc muszą, — bo to leży w ich interesie i w zakresie ich obowiązku. — Dla ich własnej przyszłości muszą to uczynić. — W szczególności obowiązkiem każdego polityka chrześcijanina, polityka katolika jest planowa i gorliwa praca nad wynalezieniem odpowiedniego terenu dla żydów, ustalenia go na drodze międzynarodowych umów i skierowania tam dobrowolnej czy przymusowej emigracji żydowskiej. Ruch samoobrony wobec żydów wśród społeczeństw chrześcijańskich budzi się i wzrasta, nabierając intensywności i siły, czy żydzi zechcą, czy nie zechcą rugowanie ich nastąpi i rozwinie się na wielką skalę. Żeby jednak nie przerzucać tej piłki na oślep jeden do drugiego,—żeby nie obdarować tym groźnym ciężarem kogoś słabszego, obowiązkiem jest pomyśleć o miejscu lokowania żydów.

Obowiązek ten w szczególny sposób spada na Polskę gdyż my mając taki ogrom nadmiaru żydowskiego będziemy musieli, — szczególnie intensywnie zająć się ich wysiedlaniem.

L. Czerniewski.

Powieść i jej wydawcy.

Powieścią i jej czytelnikami zajął się niedawno na łamach „Kurjera" p. St. K-ski, do czego dała mu asumpt broszura d-ra M. J. Ziomka: *„Czytelnictwo powieści. Najulubieńsi pisarze i najpoczytniejsze książki"*. Dr. Ziomek studjum swoje oparł na zanalizowaniu zainteresowań tysiąca klientów jednej z czytelni krakowskich i wykazał, że na stu pisarzy, cieszących się największem wzięciem wśród czytelników, znalazło się tylko 23 żyjących autorów polskich, a z tych zaledwie 5 znajduje się między pierwszymi 25-ma.

Na zasadzie tych cyfr p. St. K-ski dochodzi do następujących pesymistycznych wniosków: 1) że Niemcy i Anglosasi wypierają z niwy powieściowej zarówno autorów polskich jak i wszechwładnie do niedawna panującą powieść i romans francuski; 2) nasza literatura powieściowa chyli się do upadku.

Czy te wnioski są słuszne? Czy faktycznie nasze życie duchowe przechodzi niepokojące przesilenie, a nasza kultura narodowa cofa się na ważnym odcinku zainteresowań literackich?

Pozwolę sobie mieć mniej pesymistyczny pogląd na te sprawy—zwłaszcza co do drugiego punktu, a dlaczego—to zaraz wyjaśnię.

Ani na chwilę nie myślę kwestjonować danych, któremi posługiwał się dr. M. J. Ziomek, tylko on, a za nim i p. St. K-ski nie wzięli pod uwagę jednej okoliczności, iż niekoniecznie produkt, najbardziej rozpowszechniony na pewnym terenie, najlepiej przypada do gustu lub smaku publiczności, lecz fakt ten jest bardzo często wynikiem sprytnej reklamy, przystępnej ceny i energicznej propagandy, albo umiejętnego kolportażu.

Jeżeli teraz przyjrzymy się rynkowi wydawniczemu w Polsce powojennej, to widzimy, iż obok wydawców, we właściwem tego słowa znaczeniu, znalazła się u nas gromadka nieznanego dawniej typu fabrykantów książek, którzy nie wydają dzieła, ale wyrabiają książki, jak świece stearynowe, czy mydła toaletowe.

Wynikiem tego zjawiska jest masowe ukazywanie się na rynku wydawniczym tłumaczonej tandety na tak zwanym „mundsztukowym" papierze (by miały grubszy wygląd) i w jaskrawych okładkach (by zwracały na siebie uwagę ludzi o niewyrobionym smaku).

Fabrykant książek nie lubi płacić honorarjum autorskiego, taniej przecież wypada tłumaczenie pierwszej lepszej panienki, nie znającej dobrze ani polskiego języka ani obcego, z którego tłumaczy — więc niby to występuje taki przedsiębiorca od wydawania książek w roli orędownika zagranicznych sław literackich, gdy w gruncie rzeczy bardzo daleki jest od pobudek idealnych.

Wydawszy kilka powieści tłumaczonych, fabrykant książek usilnie zabiega koło możliwie najszybszego ich zbycia i wycofania z zarobkiem włożonego kapitału; — dla osiągnięcia tego celu nie poprzestaje na sprzedaży swej książki przez księgarnie, lecz z pomocą całej sieci agentów dociera do wszystkich czytelni i bibljotek, które zaopatruje w swe wydawnictwa natychmiast po ich ukazaniu się, często nawet wcześniej tego rodzaju nowości dostarczone bywają czytelniom, niż księgarniom. Tak dzieje się nietylko w Warszawie, ale i w całym szeregu większych miast Polski.

Wielu właścicieli i kierowników wypożyczalni książek poprzestaje na tem, co im dostarczają agenci, a inne nowości sprowadzają niechętnie na specjalne dopiero żądanie wybredniejszych czytelników czy abonentów, którym nie wystarcza tandeta wydawnicza. Nic też dziwnego,—gdy weźmiemy pod uwagę, że tłumaczeń ukazuje się znacznie więcej niż powieści oryginalnych, — iż czytelnie i wypożyczalnie książek są ze szczególną zabiegliwością celowo aprowidowane we wszystkie przekłady wyrobu fabrycznego, bo na nich kolporterzy mają wyższe procenty, a więc i wyższe rabaty dają wypożyczalniom.

Wśród klijentów czytelni ilość osób ze smakiem wyrobionym jest mniejsza, a większość bierze do czytania to, co im podsunie panienka, wydająca książki; — w tych warunkach zebrana statystyka nie może służyć za podstawę do tak daleko idących wniosków, jak to uczynił dr. Ziomek, a za nim i p. St. K-ski z „Kurjera Warszawskiego”.

Szczególniej zaoponować muszę przeciwko twierdzeniu, iż nasza literatura powieściowa chyli się do upadku. Prawda, że odeszli Prus, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski — iż wśród obecnych powieściopisarzy brak tak mocnych talentów, jakiemi się wymieniona czwórka wyróżniła, ale wobec tego faktu można mó-

wić jedynie o chwilowem osłabieniu twórczości w dobie powojennej, nigdy zaś o chyleniu się do upadku naszej literatury powieściowej wogóle.

Trzeba też podkreślić wpływ warunków materjalnych doby powojennej. Solidni, zawodowi wydawcy mają dziś przeważnie zmniejszone możliwości wydawnicze i obecnie nie tylko ze strony firm wydawniczych nie płynie podnieta w stronę lepszych autorów, jak to bywało lat temu dwadzieścia czy trzydzieści, ale dziesiątki jeżeli nie setki wartościowych rękopisów nie może się doczekać druku, co oczywiście zniechęca do tworzenia dzieł nowych.

A prawda, panowie fabrykanci książek od czasu do czasu też wydają autorów polskich, o ile dostaną rękopis utworu oryginalnego za cenę kosztów przekładu początkującej tłumaczki. Cóż robić i literat polski jest człowiekiem, potrzebującym dopływu mamony, więc—przyciśnięty koniecznością,—godzi się na ten wyzysk kombinatorów wydawniczych, którzy się nadmiernie w Polsce rozmnożyli w latach ostatnich i są prawdziwą plagą normalnego, uczciwego ruchu wydawniczego. Do podniesienia twórczości literackiej podobny wyzysk impulsu nie daje.

Plagą są też wspomniani kombinatorzy wydawniczy z punktu widzenia społecznego. Fabrykant książek patrzy na wydawnictwo dzieł z punktu dochodowości. Szanująca się firma wydawnicza liczy się z etyką, liczy się z opinją publiczną i nie pozwoli sobie na wydawanie bezeceństw, zasługujących na napiętnowanie, — tymczasem fabrykant książek żadnych skrupułów nie zna, z niczem i z nikim się nie liczy, występuje coraz to pod inną anonimową firmą i właśnie, spekulując na niezdrowej sensacji, skwapliwie wyszukuje przeróżne paskudztwa włoskie czy niemieckie, by je w lichych przekładach kolportować wśród niewybrednych odbiorców.

Mylą się więc ci, co sądząc z pewnych faktów przypadkowych, wysnuwają wnioski, jakoby powieść polska chyliła się do upadku. Z powodu przejściowych konjunktur powieść polska jest tylko przytłoczona i przygłuszona powodzią tłumaczonej tandety, produkowanej masowo przez mało solidnych fabrykantów książek, głęboko jednak jestem przeświadczony, że już niedaleki jest

czas, gdy znów powieść polska okrzepnie i zabłyśnie, a dużo tu zależy od opinji publicznej, by tandetę sobie narzucaną, potraktowała tak, jak na to tandeta zasługuje...

A. L. Szymański.

Dawniej a dziś...

Od pewnego starszego przedstawiciela naszej inteligencji otrzymujemy garść uwag b. charakterystycznych dla oceny czasów dzisiejszych:

Kiedy odnawiam sobie w pamięci przeżycia i wydarzenia z długoletniego mego doświadczenia i losów naszej Ojczyzny w okresie niewoli, zestawiając je z dzisiejszemi, to, mimo zasadniczej różnicy między niemi, — różnicy, polegającej na wyzwoleniu naszej Ojczyzny z więzów zewnętrznych, a więc przedewszystkiem z radosnem poczuciem godności narodowej, podniesionej na poziom kulturalnych państw Europy, — odnajduję też pewne analogiczne zjawiska „między dawnemi a nowemi laty".— Aby dokładniej zanalizować podobieństwo i różnice, wynikające z przeżyć tych dwóch epok naszego bytu narodowego, uważam za konieczne rozpatrzyć te dzieje pod dwoma kątami widzenia: jednem, ze stanowiska życia rodzinnego, t. j. niejako wewnętrznego, a więc i duchowo-religijnego, a drugiem — z punktu widzenia życia społecznego, politycznego, t. j. — zewnętrznego.

Otóż, słuszność wyznać nakazuje, że ówczesne, t. j. za czasów zaborczych, życie rodzinne pulsowało na ogół, więcej spokojnie i harmonijnie, aniżeli obecne, gdyż nie było zakłócane szerzeniem waśni partyjnej, a głównie — różniczkowaniem uczuć patrjotycznych, w zależności od zmiennych prądów w dzisiejszej „wolnej" Polsce, propagującej zbyt szybko interesy stronnicze i kult jednostki. Doprawdy, musimy obecnie skonstatować dziwną anomalję życia. Podczas kiedy, za czasów zaborczych członkowie każdej niemal oświeconej rodziny, czuli się polakami i polkami, nie tylko pod względem jedności religijnej ale i narodowej, karmiąc się przykładami chwalebnych czynów swych przodków a następnie i bezinteresownemi porywami i ofiarami życia, podczas zbrojnych powstań, bez żadnych tarć osobistych i stronniczych, to, obecnie, koła rodzinne podminowane i podzielone zostały na pojedyńcze, indywidualne poglądy

na tle społecznem i państwowem, nierzadko wrogo ku sobie nastawione.

To też nic dziwnego, że radość i błogie nadzieje, zrodzone w narodzie polskim w pierwszych latach odzyskania niepodległości państwowej i wolności obywatelskiej, po kilku latach rządów egotycznych, zamieniły się nie tylko w starcia sejmowe, ale i uliczne, zilustrowane jaskrawo w stolicy w bratobójczej walce. Stanęliśmy więc już nie w obliczu nieprzyjaciela zewnętrznego, lecz — wewnętrznego, i to niestety reprezentowanego przez błędy i zbrodnie popełnione przez niektórych obywateli naszej Ojczyzny, którzy nie pomni na swe wysokie posłannictwo i odpowiedzialność dziejową, gwoli dogodzenia wyolbrzymionej ambicji i niepohamowanej żądzy władzy, rozniecają ku sobie niechęć a nawet nienawiść większości swych rodaków.

Aby jednak słowa powyższe nie wyglądały na gołosłowne, pozwolę tu sobie przytoczyć pewne wyciągi z „cenzuralnych" przemówień jednego z naszych ministerjalnych „wodzów", jako świadczące o idących wciąż „crescendo" zamierzeniach a jak w danym razie o zaprojektowanem wychowaniu „państwowem": „...Młodzież powinna być wychowywana dla państwowości — w szacunku dla jej ideowej tradycji. To też winien być w szkole szerzony kult wielkich ludzi, których praca i genjusz tworzyły na przestrzeni stuleci naszej historji niezapomniane wartości". „Nietylko winny tu wchodzić w grę odległe epoki naszych dziejów. Nie mniejszej wagi jest historja lat ostatnich". „Jest rzeczą niemożliwą i niedopuszczalną — mówi p. minister— aby osobę marszałka Piłsudskiego, jego pracę ukrywać przed młodzieżą".

Należy tu zauważyć, że jeśli p. minister słusznie twierdzi, że nie godzi się przemilczeć o pracy marsz. P., to prawda i sumienie nakazuje także wychowawcy pouczać młodzież o błędach. Wszak nauka szkolna musi być prowadzona objektywnie; młodzież winna być uczona zgodnie z prawdą.

A jakie „wzory wychowania" stawia się tak rodzinie, jak i młodzieży przez dokonane już w Warszawie otworzenie „poradni zapobiegania ciąży?" Jestto ulegalizowanie szerzenia demoralizacji! Ładny też przyczynek do tej akcji „wychowawczej" stanowi, choćby ankieta, rozesłana przez Min. W. R. i O. P. — do

szkół średnich żeńskich, z zapytaniami, dotyczącemi „Dziejów grzechu" Stefana Żeromskiego. — Godnym podręcznikiem takiego wychowania „państwowego" jest także niedawno wydana książka znanego „działacza brzeskiego", a obecnie wojewody p. Kostka Biernackiego, p. t. „Djabeł-Zwycięsca", w której osławiony autor chlubi się swą nienawiścią do katolicyzmu i duchowieństwa.

Kończąc rozważania na temat powyższy, należy podkreślić, że obecne czasy wolnej Ojczyzny grożą nam utratą podwalin nie tylko niepodległego bytu państwa, lecz i ducha narodu, a to, wedle natchnionych słów wieszcza, jest prawdziwy „bólów ból"!

Lumiński.

Na froncie walki o religję i moralność publiczną.

Różnica poglądów między Episkopatem a klubem B. B. — Co to jest lojalność — Los szkolnictwa — Bezceremonjalny stosunek do duchowieństwa — „Gazeta Polska" i „Don Karlos" — „Robotnik" i p. Boy'e zabawiają się w denuncjacje polityczne— Zasady i ich wykonanie — W barakach warszawskich — Nasza inteligencja wobec zagadnień społecznych.

W numerze poprzednim pisaliśmy o „reformie szkolnictwa" podjętej przez rząd i o możliwych konsekwencjach tych posunięć. Oddając numer do druku, nie mieliśmy jeszcze w ręku listu Episkopatu w powyższej sprawie Oto list wzmiankowany:

„P. Minister wyznań religilnych i oświecenia publicznego wniósł na podstawie uchwały Rady Ministrów do Sejmu projekt ustawy o ustroju szkolnym oraz projekt ustawy o niepaństwowych szkołach oraz zakładach naukowych i wychowawczych.

Episkopat Polski otrzymał, niestety, rzeczone projekty w ostatniej dopiero chwili i nie miał możności przedstawienia postulatów, wynikających ze stanowiska Kościoła.

Skutkiem tego Episkopat zebrany na konferencji, nie mogąc projektu poddać szerszemu omówieniu, ogranicza się do wypowiedzenia następujących uwag:

We wstępie do projektu ustawy o ustroju szkół powiedziano, że szkoła ma dawać wyrobienie religijne, moralne, umysłowe i fizyczne. Episkopat zastrzega się, że o ile chodzi o katolików, wyrazy: „wyrobienie religijne i moralne" powinny być rozumiane w znaczeniu wychowania religijnego i religijno-moralnego w myśl zasad Kościoła.

Projekt zaś ustawy o szkołach niepaństwowych wprowadza do szkolnictwa niepaństwowego, a zatem także do szkolnictwa przez Kościół i osoby prawne kościelne prowadzonego, tak wielkie pogorszenie stanu rzeczy, że Episkopat widzi się zniewolonym zwrócić się w tej kwestji do rządu. Projekt tej ustawy, nadający Ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego nieograniczone pełnomocnictwa nietylko w dziedzinie zakładania nowych szkół prywatnych, zarówno podcina prawa i byt szkół dotychczasowych, jak i uzależnia zakładanie i prowadzenie szkół prywatnych od uznania państwowej władzy szkolnej.

Kościół katolicki jest szczególnie zainteresowany w sprawie powyższej, ponieważ w ramach jego istnieje cały szereg typów szkół prywatnych, służących potrzebom Kościoła, oraz jego wiernych, a koniecznych do prawidłowego życia Kościoła katolickiego w Polsce.

Episkopat zwraca się do Panów Posłów katolickich o uczynienie wszystkiego, ażeby postulaty jego, wyżej wyrażone, zostały przez ciała ustawodawcze uwzględnione".

Podpis: **A. kard. Kakowski.**
A. kard. Hlond.

Widzimy więc, że Księża Biskupi, rozpatrując ustawy szkolne wyłącznie z punktu widzenia religijno-moralnego, znaleźli szereg przepisów, które napełniły Ich troską o przyszłość szkolnictwa i stosunek jego do Kościoła. Innego natomiast zdania był wybitny znawca zagadnień religijno-moralnych, konstytucyjnych i pedagogicznych, prezes klubu B. B. W. R. p. Walery Sławek, który w liście swym wystosowanym w odpowiedzi do Episkopatu pisze z właściwą mu prostotą i skromnością, cechującą wszystkich działaczy B. B. W. R., że zastrzeżenia i obawy XX. Biskupów rozważył „dokładnie i z całym poczuciem współodpowiedzialności za należyte zorganizowanie wychowania przyszłych pokoleń" i umocnił się w przekonaniu „że B. B. W. R. z całym spokojem może nadal popierać wspomniane projekty rządu" są one bowiem według zdania prezydjum sanacyjnego „tylko dalszym rozwinięciem zasad wyrażanych w art. 117 konstytucji, jeśli chodzi o szkolnictwo prywatne i art. 120, jeśli chodzi o kierownictwo i nadzór nauki religji w szkołach".

Ano, każdy może mieć swój pogląd. Niech się jednak nie dziwi p. Sławek, że zdanie Episkopatu będzie dla katolików w tych sprawach bardziej miarodajne, niż „interpretacje" ustawy konstytucyjnej dokonywane przez znanych mistrzów z klubu B.B. Zwłaszcza, że dyskusja toczona na temat tych ustaw w parlamencie obfitowała w liczne zwroty b. charakterystyczne w na-

szych stosunkach. Oto podane za „Gazetą Warszawską” urywki z tej dyskusji:

„We wtorek dokończono debaty szczegółowej nad projektem rządowym o szkolnictwie prywatnem. Na początku posiedzenia doszło do znamiennej kontrowerji między wiceministrem Pierackim a posłami Korneckim i Strońskim w sprawie znanego wystąpienia Episkopatu.

Wicemin. Pieracki w polemice z pos. Korneckim zaznaczył, że domaganie się jego, by związki religijne nie miały obowiązku, przedstawiając władzy kandydatury na dyrektorów i nauczycieli szkół, starać się dla nich o zaświadczenia władz administracyjnych w sprawie ich moralności i lojalności — oświadczył, że przepis ten jest słuszny i władze mają prawo tego się domagać; gdyż wynika to z prawa nadzoru, zastrzeżonego władzy państwowej w konstytucji. Biskupi — mówił wiceminister — rozumieją to inaczej, a memorjał ich był następstwem wpływu, jaki na nich wywarły komentarze prasy opozycyjnej.

Pos. Kornecki (KNar.) oświadczył, iż twierdzenie ministra i wiceministra nie jest słuszne, memorjał biskupów pojawił się przed dyskusją szczegółową nad tą ustawą, a treść jego jest uzasadniona postanowieniami projektu, który nie czyni żadnej różnicy pomiędzy szkołami, zakładanemi przez związki religijne a osoby prywatne.

P. St. Stroński (KN): W sprawach kościoła, zagwarantowane w konstytucji i konkordacie, jest prawo zakładania i prowadzenia szkół. Kościół pracę tę prowadzi w ciągu wielu wieków, ma wielkie zasługi na tem polu. Tymczasem w ustawie wytwarza się taka sytuacja prawna, że np. oo. Jezuici, zakładając szkoły, mogą się spotkać z takiem traktowaniem, że władza nie zatwierdzi im przedstawionego dyrektora, jeżeli minister będzie dla nich nieżyczliwy. Tak samo dziwne jest żądanie od księdza zaświadczenia o moralności i lojalności. Ustawa daje władzy prawo usunięcia w każdej chwili niemiłego dyrektora lub nauczyciela. Art. 114 konstytucji gwarantuje kościołowi wewnętrzne jego prawa, do których należy i prowadzenie szkół, a ustawa nie może tego prawa ograniczać.

Wicemin. Pieracki uważa, że pos. Kornecki źle go zrozumiał. Nie mówi, że biskupi ulegli wpływowi opozycji, ale urabianie opinji przez opozycję o zagrożeniu losu szkół religijnych mogła obudzić obawy Episkopatu. Słusznie, że w komisji ujawnia się obrona interesów kościoła, ale trzeba także uwzględnić interesy państwa.

Pos. Kornecki. Interesy te nie są przez kościół zagrożone!

Wicemin. Pieracki: Gdzie jest zabezpieczone prawo państwa, gdzie jest kościół zagrożony? Jest tu nieporozumienie. Pos. Bitner (Ch. D.) mówił, że trwa walka państwa z kościołem, kościół nie jest zagrożony w tem, że chcemy mieć w szkołach lojalnych obywateli. Biskupi składają również przysięgę, że będą lojalni dla państwa, księża także. Prezydent daje swą opinję przed mianowaniem księdza na biskupa, nikt nie neguje zasług kościoła. Występuję dziś dlatego, by nie mieszać dostojników kościoła do walki, nie robić z nich piłki — nie używać kościoła za narzędzie.

Punkt ciężkości zagadnienia leży w tem, że panowie z sanacji w swoisty sposób wyinterpretowali sobie pojęcie lojalności. Dla nich lojalnym obywatelem jest tylko czynny i gorliwy zwolennik obecnego systemu — wszyscy inni zaś są conajmniej podejrzani. Dotychczas system tego rodzaju był stosowany w armji, urzędach, samorządach, do pewnego stopnia w sądownictwie, obecnie przyszła kolej na usuwanie „nielojalnych" kierowników szkół prywatnych. Punktem wyjścia do badania stopnia „lojalności' będzie prawdopodobnie sprawozdanie z obchodu tegorocznych imienin min. Piłsudskiego. Oto np. kurator okr. warszawskiego Pytlakowski rozesłał niedawno okólnik, który świetnie charakteryzuje istotę t. zw. wychowania „państwowego". Przytaczamy go in extenso:

„Zbliża się dzień, w którym Wychowawcy znów powiedzą młodzieży, iż wielkim Budowniczym Państwa naszego jest Józef Piłsudski, Pierwszy Marszałek Polski!

Powiedzą też jej, iż budował Państwo Polskie wytężoną pracą całego życia, gorącą wiarą w zwycięstwo i głębokiem poczuciem odpowiedzialności za swe czyny!

Powiedzą wreszcie, iż jest On dla młodzieży szkolnej pięknym wzorem mocnego charakteru i wielkiego serca!

Oto myśl przewodnia uroczystych obchodów, które wszystkie szkoły organizują w dniu Imienin Marszałka. Rozpoczęte nabożeństwami szkolnemi, obchody w programach swych uwzględnią: hymn państwowy (chór, orkiestra), zwięźle i treściwie ujmujące charakterystykę Twórcy Legjonów i nacechowane kultem dla niego przemówienia, chóralne odśpiewanie pieśni legjonowych, deklamacje i t. p., na zakończenie zaś Pierwszą Brygadę (chór, orkiestra).

Programy obchodów winny być ułożone, o ile możności, z udziałem młodzieży, wszystkie zaś części programowe muszą być jaknajstaranniej przygotowane, aby całość uroczystości nosiła wybitnie wychowawczy charakter.

Niezależnie od obchodów szkolnych jest wysoce wskazane, aby dla młodzieży (delegacyj) szkół warszawskich został zorganizowany wspólny uroczysty obchód Imienin Marszałka (bądź akademja, bądź przedstawienie teatralne i t. p.), oraz aby delegacje tej młodzieży z wychowawcami udały się ze sztandarami do Pałacu Belwederskiego, celem złożenia podpisów w Księdze Pamiątkowej (po porozumieniu z Adjutanturą).

W miejscowościach prowincjonalnych Panowie Inspektorowie Szkolni i Dyrekcje (kierownictwa) szkół nawiążą ścisły kontakt z lokalnemi Komitetami, które tworzą się celem uczczenia dnia 19 marca r. b. Jeśli w danej miejscowości organizuje się jeden ogólny obchód, szkoły winny w nim wziąć udział. Jeśli w innej miejscowości jest kilka szkół, pożąda-

nem jest urządzenie wspólnego międzyszkolnego obchodu, o ile warunki lokalne na to pozwolą.

W sprawie odprawienia w dniu 19 marca r. b. uroczystych nabożeństw w kościołach rzymsko-katolickich, zwracam się o wydanie stosownych zarządzeń do Władz Duchownych.

Dyrekcje (kierownictwa) szkół zatroszczą się we własnym zakresie działania, by dla uczniów innych wyznań były odprawione nabożeństwa w odpowiednich świątyniach.

Dzień 19 marca r. b. jest wolny od wszelkich zajęć szkolnych".

Mamy do czynienia z systemem konsekwentnego niszczenia podstaw moralnych życia wewnętrznego Polski. Szkolnictwo „reformy" nie uniknie, zatem trzeba się do niej przygotować i przedsięwziąć odpowiednie posunięcia, aby złagodzić przynajmniej to zło, które ona wyrządzi. Oczywiście przypuszczenia pp. sanatorów, że uda im się nagiąć dusze i sumienia młodego pokolenia do ich zmurszałych i zbankrutowanych poglądów koteryjno-partyjnych są igraszką bujnej wyobraźni i prędzej, czy później prysną w okolicznościach nader smutnych dla nich samych i dla szkolnictwa, jako instytucyj ogólno-państwowej. Doświadczenie dziejowe wskazuje, że młodzież nigdy nie da sobie narzucić a priori poglądów politycznych, czy fetyszyzmu w stosunku do jednostki...

Ale idźmy dalej. Nietylko stanowisko p. Sławka wobec postulatów Episkopatu, ale i inne fakty wskazują, że powiedzenie posła Bitnera o toczącej się faktycznie walce z religją i Kościołem nie jest wcale pozbawione cech prawdopodobieństwa. Wiadomo powszechnie, że podczas komisyjnych obrad parlamentu (ostatnia sesja) duchowieństwo zostało brutalnie zaatakowane przez kilku posłów z B. B., którzy nie działali napewno bez porozumienia z Prezydjum klubu. Klub B. B. jest niezadowolony z Episkopatu i z duchowieństwa z powodu energicznej obrony katolickiego prawa małżeńskiego i wogóle praw Kościoła. Ponieważ zaś ci panowie przywykli łamać per fas et nefas wszystko cokolwiek stanie im na drodze, więc nie brak wśród nich nastrojów i poglądów, aby Kościół potraktować tak, jak potraktowali już administrację, samorządy, sądownictwo, szkolnictwo i t. d.

Od czasu do czasu pojawiają się bardzo znamienne fakty, świadczące o dziwnym wprost stosunku pewnych czynników sanacyjnych do duchowieństwa. Oto np. w grodzieńskim „Nowem

Życiu" ukazał się następujący list otwarty ks. M. Małynicza-Malickiego do starosty białostockiego:

„Drugi już rok kazania moje są pod stałą inwigilacją policji, co w ostatnich miesiącach wreszcie się stało zjawiskiem powszechnem w stosunku do kazań okolicznych proboszczów. Ale widzę postęp w tej inwigilacji. Przez kilka niedziel przyjeżdża do Jasionówki taksówka z Białegostoku, z której, minąwszy miasto, wysiada dwóch panów, aby niepostrzeżenie się dostać do kościoła na kazanie.

Zwykle korzystam z obecności osób urzędowych na kazaniu, aby poruszyć bolączki życia naszego, na przyjazd np. p. starosty 17. 1. br., poruszyłem kwestję inwigilacji kazań, faworyzowania 19 strzelców, a maltretowania 300 (trzystu) druhów S. M. P., i chociaż p. starosta łaskawie się wyrażał „o lojalności i uprzejmości mojej tego dnia", skutek był wręcz niespodziewany: obostrzona inwigilacja.

Dnia 21. 2. br., nie spodziewając się gości, mówiłem na sumie kazanie katechizmowe, nie poruszając kwestyj społeczno-historycznych, pozostawiając je do drugiego kazania podczas „Gorzkich żalów". Wizyta więc delegatów białostockich była chybiona.

Ażeby skarbu państwa nie narażać na koszt: ponad 50 klm. samochodem, djety delegatów z Białegostoku, — zawiadamiam uprzejmie pana starostę, że w czasie postu zagadnienia społeczno-historyczne poruszać będę w kazaniach o Męce Pańskiej, zastrzegam jednak, że gdy mówię o szpiegowskich zabiegach faryzeuszów, o zdradzie Judasza, sądzie Piłata, nie mam i nie chcę mieć na myśli nikogo z czasów dzisiejszych, aby nie zaszło nieporozumienie.

Zawsze i wszędzie lojalny

Ks. M. Małynicz-Malicki."

Niech zastanowią się nad tymi faktami te nieliczne, na szczęście, a nieoględne i pozbawione zmysłu społecznego sfery społeczeństwa katolickiego, które po dziś dzień uważają sanację za czynnik dodatni dla katolicyzmu, za pewnego rodzaju gwarantkę praw katolickich! Czyż może być błąd większy i bardziej jaskrawy? Oczywiście sanacja chciałaby wciągnąć katolików do swojego rydwanu, aby wspaniała i szlachetna ideja służyła jej za parawan popełnionych błędów. Jak by na tem wyszła ideja katolicka w Polsce, nie potrzeba długo się zastanawiać. Wystarczy wspomnieć na przykład Hiszpanji, gdzie pewne pozory dostarczyły wrogom Kościoła argumentu, jakoby Kościół popierał dyktaturę. Każdy kto wytwarza podobne pozory w Polsce, złą oddaje przysługę idei katolickiej i Kościołowi.

* * *

W numerze sanacyjnej „Gazety Polskiej" z dnia 21.II.1932 r. znajdujemy w odcinku scenę 10 aktu III Don Karlosa. Markiz

Poza rozmawia z Filipem II i rzuca między innemi myśli następujące (przekład K. Iłłakowiczówny):

„Sire, wracam z podróży
po Flandrji i Brabancie... Kraj podobny róży
rozkwitłej, lud potężny i z siły ramienia
i z mocy ducha, dobry lud, rzetelnej poczciwości.
Tedym pomyślał: panem być tych wszystkich włości
— Co to za boska rzecz, co za szczęśliwy
los być takiego ludu ojcem!... Wtem na dziwy
potknąłem się o — szczątki stosu i o kości
ludzkie zwęglone... (zamilkł — patrzy w oczy królowi)....
(szybko) Cmentarny pokój to! O królu, zali masz nadzieję
skończyć to, coś rozpoczął?...
Europa z naszj bezradności szydzi, ciesząc się, że Hiszpanji
zwalczać nie trzeba, bo ona sama siebie najboleśniej rani...
...O zerwij z tem nienaturalnem samoubóstwieniem,
które jest zgubą, a stań się nam wzorem i natchnieniem,
wiecznej prawdy wcieleniem.
Nigdy śmiertelnik żaden nie był tak bogato obdarzony,
królowie wszyscy tobie zazdroszczą korony;
stań na ich przedzie nieustraszenie.
Za jednem twego pióra pociągnięciem,
jakby za twórczem zaklęciem
ziemia zmieni swoje przeznaczenie!
Daj nam wolność myślenia... (pada królowi do nóg).

Zaiste, podziwiamy „Gazetę Polską", że zdobyła się na tego rodzaju samobiczowanie. W dzisiejszych naszych stosunkach słowa Schillera brzmią, jak pamflet i nic dziwnego, że scena podana wyżej była najmocniej oklaskiwana podczas wystawienia Don Karlosa w Teatrze Narodowym.... Zdaje się, że absolutyzm stał już u nas bardzo znienawidzony, a tembardziej absolutyzm... „nieoświecony"....

* * *

Dr. Edward Boyé, wygłaszając na terenie Uniwersytetu odczyt o Cervantesie i Don Kichocie, dopuścił się poważnego nietaktu, mn. pozwolił sobie krytykować i przedstawił w b. ciemnych barwach z punktu widzenia pojęć liberalnych z połowy XIX w. urządzenia i zwyczaje hiszpańskie z w. XVII-go i to w obecności posła hiszpańskiego i jego przyjaciół. I tu zaszło, używając własnych słów dr. Edwarda Boyé („Robotnik" № 77) „tragikomiczne nieporozumienie": obecny na odczycie lektor języka hiszpańskiego ks. Amadeus Ponz y Martinez obraził się

tak bezceremonjalnym potraktowaniem historji jego ojczyzny przez cudzoziemca i tłumacząc odczyt posłowi Gil-Delgado y Olazabel, dał wyraz swemu oburzeniu.

Nieporozumienie jest istotnie tragikomiczne, ale tylko ze strony p. Boyé, który pozwolił sobie ot tak bezceremonjalnie, jak to czynią w „Grajdołkach” (własne określenie p. Boyé) — w kaloszach wkroczyć w wewnętrzne sprawy hiszpańskie i z odczytu literackiego zrobić hecę polityczną. Nie dziwimy się wcale, że Hiszpanie się obrazili. Wszak i my nie bylibyśmy zadowoleni, gdyby jakiś Hiszpan, wygłaszając w Madrycie w obecności naszego posła odczyt np. o Kochanowskim, poddał ostrej krytyce ustrój Rzeczypospolitej szlacheckiej w czasach Jagiellońskich, robiąc przytem aluzję do dzisiejszych wyczynów sanacyjnych.

Ale tu zaszła rzecz znacznie gorsza. P. Boyé nietylko nie przyznał się do nietaktu i nie wyraził ubolewania, nietylko w sposób nieprzyzwoity zaczął polemizować z ks. Ponz y Martinezem i poniekąd posłem hiszpańskim na łamach „Robotnika”, ale prócz tego, jak chwali się w swoim artykule, wysłał donos do Madrytu na ręce min. spr. zagranicznych i prezesa Najwyższej Rady Oświaty.

Mamy do czynienia z czynem naprawdę wyjątkowym... Dziwić się należy, że „Robotnik”, który rzuca hasła demokratyczne i pomstuje na donosicielstwo w stosunkach wewnętrznych zamieścił artykuł tego pana, który stosuje analogiczne metody na terenie szerszym, międzynarodowym. Czyżby „Robotnik” uważał, że obowiązek stosowania tych zasad ustaje wówczas, gdy chodzi o księży!

P. Boyé, pisząc o ks. Martinezie, nadmienia, że „jedząc obecnie chleb republikanów, powinien mieć stanowczo więcej taktu i umiaru w wyrażaniu swoich rojalistycznych przekonań”. Tymczasem okazuje się, że zarzut p. Boyé jest zupełnie nieuzasadniony. Bo oto list otwarty słuchaczy ks. Ponza:

„Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. dr. E. Boye'go pod tytułem „Tragiczne nieporozumienie”, zamieszczonym w numerze 77 „Robotnika” z dnia 7-go bież. miesiąca, zawierającym między innemi wzmiankę, jakoby ks. Amadeusza Ponz y Martinez, lektora języka hiszpańskiego na uniwersytecie warszawskim cechował brak „taktu i umiaru w wyrażaniu swoich rojalistycznych przekonań” — niżej podpisani słuchacze lektoratu języka hisz-

pańskiego na Uniwersytecie warszawskim proszą o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Ks. A. Ponz y Martinez w wielokrotnych rozmowach z nami nigdy nie ujawniał swoich przekonań politycznych i nigdy nie poddawał krytyce obecnego ustroju państwowego swojej ojczyzny, toteż artykuł p. dr. E. Boye'go, zawierający najzupełniej nieuzasadnione zarzuty wyrządza krzywdę zasłużonemu działaczowi na polu zbliżenia dwóch narodów.

Stanisław Terechowicz, Janina Ricińska, Cecylja Wardęska, T. Deregel, Tadeusz Westfal, Konstanty Magiewicz, Jerzy Toeplitz, Zofja Handelsman-Targowska, Marja J. Boglewska, Hel. Bychowska, Marja Trojanowska, Karol Rzogaty".

Artykuł p. Boye'go odznacza się iście żydowską perfidją: rozpoczyna od zagadnień literackich, wchodzi w konflikt na terenie zagadnień religijnych, a w końcu, aby zaszkodzić swojemu przeciwnikowi w oczach rządu hiszpańskiego, stawia sprawę na płaszczyźnie: republika-monarchja. Jakim czołem panowie z „Robotnika" mogą głosić swoje zasady demokracji i poszanowania godności przekonań człowieka i obywatela, jeżeli tak ładnie stosują je w praktyce!

Ten przykry wypadek jest dowodem upadku moralnego naszego społeczeństwa, jeżeli takie typy ludzkie mogą bezkarnie się panoszyć. Słusznie Adolf Nowaczyński, czyniąc porównanie między poziomem kultury umysłowej u nas i na zachodzie, dochodzi do pesymistycznych wniosków. Przytaczamy jego uwagi, umieszczone w „Gazecie Warszawskiej":

W Wielkiej Brytanji konfessja rzymska w ostatnich latach czyni olbrzymie postępy. W Londynie założono wolny uniwersytet katolicki (Catolic Truth Society), przy Eccleston-Street, niedaleko Westminsteru. Tygodnik katolicki „The Uniwers", biją w przeszło stu tysiącach egzemplarzy. Foreign-Office nie waha się na tak ważne placówki, jak Sekretarjat Ligi Narodów, lub ambasada w Paryżu, wysyłać katolików (sir Drumond Tyrrel). W parlamencie Labour-Party stale i demonstracyjnie popiera wszystkie postulaty katolickiej ludności. W jesieni, uroczystość sprowadzenia z Francji szczątków Johna Soutwortha, męczennika, prześladowanego przez dyktatora Cromwella i Purytanów, zmieniła się w Londynie w olbrzymią, masową demonstrację angielskiego katolicyzmu.

Bardzo ważny atoli jest zwrot ku katolicyzmowi w literaturze angielskiej i w piśmiennictwie wogóle. Jakże dalekie są te czasy, kiedy Walter-Scott zionął w każdym tomie nienawiścią do katolicyzmu. Wysokie duchowieństwo katolickie miało już takich dwóch świetnych pisarzy, jak kardynał Wisemann (autor „Fabioli"), a później J. H. Newman, głęboki myśliciel, którego dzieła przywróciły katolicyzmowi Stan. Brzozowskiego. Obecnie, ze starszej generacji, żarliwie służą idei katolickiej Hilary Bellor i G. K.

Chesterton. Obaj walczą niezmordowanie w obronie „rzeczy niepopularnych”, przeciw Shylokracji, giełdom, Sassonom, złajdaczonemu dziennikarstwu brukowemu, a w obronie drobnego handlu, małomieszczaństwa, starych tradycyj, merry old England i obaj namiętnie występują za radykalną reformą rolną, która jedynie może uratować imperjum od krachu (latifundia Romam perdiderunt).

Do nich ostatnio dołączyły się dwie indywidualności z generacji najmłodszych, obie cieszące się już wielkim mirem i sławą, jako talenty powieściopisarskie. Pani Sheil Kaye Smith (żona pastora z Sussex), nawróciła się na katolicyzm niedawno i dała literaturze kilka tomów pierwszo rzędnych („Brzask Wszechrzeczy”, „Czarownica”, „Światło niewidzialne”), z których oczywiście ani jedna nie jest tłumaczona na polskie. Konwertytem jest też Compton-Mackenzie, którego dwa pryncypalne utwory („Jak Marek Lidderdal doszedł do katolicyzmu?”, „Stopnie Ołtarza”), oczywiście także nie są dotychczas tłumaczone na polski. Ponieważ przyswaja się polszczyźnie tyle dzieł Wellsa, Lockea, Curwooda, Galsworthyego, ostatnio Russela, przeto możnaby już zaryzykować także tłumaczenie tych katolickich powieściopisarzy. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że Hilarego Belloca (również i powieściopisarza), tłumaczonego na niemiecki, francuski i włoski język, dotychczas ani jeden tom nie wyszedł po polsku.

Jeszcze zaś z dawnego pokolenia jest jeden pisarz ciekawy, zmarły w r. 1908 autor „Paradoksów Katolickich”, którego powieść, tłumaczona na polski już dość dawno, dopiero teraz jednak nabiera rzeczywistej aktualności. Jest to „Pan Świata” Hugh Bensona. Powieść fantastyczna o przewrocie europejskim koło roku 1947 i rewolucji wszechświatowej. Jeszcze wtedy, kiedy Benson powieść pisał, nie była moda na dyktatorów, a Benson daje postać dyktatora Europy, Juljana Felsenbinga... Kontynent się laicyzuje, we wszystkich szkołach nauka religji jest zakazaną... Indje odpadają od Anglji... masoni wszędzie obejmują władzę... na Wschodzie Azjatyckim wybucha wojna... Cywilizację ratuje Katolicyzm i Rzym.

Tę powieść („Pan Świata”) pisał syn anglikańskiego biskupa, Hugh Benson.

Z dziwnem uczuciem wraca się od lektury takiej dosłownej arystokracji intellektualnej zachodnio-europejskiej, od takich autorów jak Benson, Chesterton, Belloc, do tej hołotnej, wulgarnej, śmierdzącej mierzwy agnostycznej, jaką teraz wygarniają masowo przed inteligencję stołeczną nadwiślańskie guanofagi i producenty stęchłej wolnej myśli i apaszowskiego „jakobinizmu”. Gdy się czyta takie staroświeckie, w stylu pana Hornais z przed lat 50-ciu ataki i napaści na Chrystjanizm jakichś Ułaszynów, którzy są pono profesorami uniwersytetu (poznańskiego!), a potem bierze pierwszy lepszy tom Chestertona, widzi się jasno, w jakiem eurazjatyckiem barbarzyństwie tkwią ci, co niby niosą światło narodowi, wyzwalając go z pęt „religjanctwa” i jaka przepaść całych warstw i formacyj kultury leży między takim profesorem uniwersytetu ze Sarmacji-Sanacji a starym dorożkarzem, który obwozi Chestertonowskiego księdza Browna po... Whitechapel.”

Rozmaite Ułaszyny, Boyowie-Żeleńscy i Boyé zanadto się u nas rozpanoszyły. Kiedyż to pojawi się w Polsce, tak, jak w Anglji — zwarta plejada pisarzy katolickich, którzy w odpowiedni sposób potraktują ten najazd czarnosecinnych i czerwonosecinnych pogrobowców liberalizmu...

* * *

Żyjemy w okresie wzrastającej nędzy szerokich mas proletarjatu. Inteligencja katolicka za mało zdaje sobie z tego sprawę, za mało wczuwa się psychicznie w cierpienia i potrzeby innych warstw społecznych. To też dla wielu ludzi prawdziwą rewelacją będzie artykuł Z. Zaleskiej ogłoszony przed kilku tygodniami w „Kurjerze Warszawskim" p. t. „Misje nowoczesne":

„— Proszę pani, chciałym dostać kartkę do chrztu.

— Proszę pani, mój chłopiec taki chętny do nauki, a już pół roku do szkoły nie chodzi.

— Proszę pani, żeby to moje mogło do przedszkola się dostać; pani katechetka obiecała.

— Proszę pani, ja tylko dwa słowa chciałabym na osobności... według ślubu.

Moja przewodniczka znika gdzieś w ciemnem przejściu. Na mnie — tę obcą — patrzą dziesiątki oczu; z za przepierzeń z gałganów, papieru, desek wychylają się głowy ludzi, stłoczonych na gromadę w tych barakach, na Okopowej 59, tylko ci, co pod ścianami zdołali miejsce „złapać", mają nieco światła, zaś pośrodku żyją ludzie w ciemności; chorzy miesiącami leżą w mroku, a obok pełzają po brudnej ceglanej z wyrwami ziemnemi podłodze małe dzieci blade i zamorusane, błękitne ślepki wznosząc w górę i — w tym tłoku ucząc się znajdować sobie miejsce bez naprzykrzania się starszym, przegryzionym troską do głębi duszy.

Idziemy jakby kurytarzem, stworzonym, przez te na sznurkach pozawieszane z gałganów i papieru zasłony, za któremi rodziny bezdomnych tworzą sobie złudę odosobnienia. Iluż tu ludzi! I jakie mrowie dzieci!

Na Annopolu około 8.000, na Żoliborzu — około 6.000, w Polusie — 2.200, na Okopowej—1375, na Powązkach—658, na Lesznie—620 ludzi.

Wszyscy razem stłoczeni, zmuszeni do najcięższej doli: wspólnego dachu, pod którym kłębią się ich nędze, bóle, rozgoryczenia w coraz gorszą plątaninę. Zwierz ma jamę własną, osobną, człowiek XX wieku ma — barak wspólny, gdzie podpatrują go obce oczy każdej chwili".

Publicystka opisuje ciężkie warunki życia i nędzy tych ludzi, a także ich upadek moralny, bo wszak według słynnego powiedzenia św. Tomasza z Aquinu, do praktykowania cnoty też jest potrzebne pewne minimum egzystencji. Tego minimum ci ludzie nie mają i dlatego społeczeństwo katolickie musi im przyjść z pomocą, jeżeli nie chce od nich usłyszeć zupełnie zasłużonego

przekleństwa. Na szczęście znaleźli się ludzie dobrej woli o sumieniu i sercu chrześcijańskim, którzy ocalili honor stolicy. Gdyby ich bowiem nie było, cóż można byłoby powiedzieć o cywilizacji i kulturze chrześcijańskiej w Stolicy Polski, która pozwala, aby takie rzeczy działy się na jej terytorjum. Czytamy dalej w artykule:

„I oto w tych barakach kazania misyjne ojca Leona Redemptorysty skłaniają na Annopolu 1500 ludzi do spowiedzi, nakłaniają żyjących „na wiarę" do zawierania ślubów, a matki (są takie, które same jeszcze nie chrzczone) do przyprowadzania dzieci do chrztu. Nowoczesne misjonarstwo w nowoczesnym pogańskim świecie! W stołecznem mieście chrześcijańskiego państwa, a nie — w puszczach Afryki.

Do pomocy misjonarzowi staje Stow. Św. Wincentego á Paulo. W ciągu dwóch lat doprowadzono 153 związki „dzikie" do ślubu; ochrzczono 70 dzieci, przeprowadził z niemi o. Leon katechizację, ubrał — bo to półnagie było, wyspowiadał, doprowadził do bierzmowania, którego udzielił ks. biskup Szlagowski. Stworzył całe biuro porad, które wydobywa metryki, akty, przeprowadza w konsystorzu sprawy tych, którzy w związkach dzikich żyją, nie mając dowodu zgonu pierwszego męża czy żony, zaginionych bez wieści w okresie wojny.

Rozrasta się ta praca coraz więcej. Przed 2 laty zaczęło się od 1 kobiety z sekty Hodura, nawróconej przez o. Leona, mieszkanki baraków, której misjonarz zlecił, aby mu przyprowadzała owe dzikie małżeństwa i dzieci niechrzczone. Pomagać jęły w tej akcji pojedyńczo różne osoby. Wreszcie przed kilku miesiącami zawiązała się specjalna „sekcja barakowa" zw. czcicielek Serca Jezusowego. Celem jej zasadniczym jest opieka moralna, w której współpracują z opiekunkami baraków katechetki ze Związku katolickiego Polek, prowadzące katechizację dzieci, ale niepodobna obejść się bez opieki i materjalnej. Oto naprzykład jakaś para nakłania się do zawarcia ślubu i chce dzieci ochrzcić, — trzeba wydobyć ich metryki, dać obrączki, jakieś ubranie przyzwoite, potem odpis aktu ślubu, koszt ogółem wynosi 45 zł. A trzebaż jeszcze ubrać do chrztu i Komunji. Trzeba umożliwić im uczęszczanie na katechizację. Trzeba dorosłym i młodzieży dać książkę dobrą do ręki, nietylko pogadankę i rekolekcje".

Akcja charytatywna bardzo słabe ma poparcie wśród nowej inteligencji katolickiej. Jest, nie można temu zaprzeczyć i rozwija się na szczęście, zwłaszcza w młodym pokoleniu czyni pewne, choć nie wielkie postępy. Rozwój jej jednak jest zbyt powolny, z jednej strony zahamowany ciężkim kryzysem gospodarczym, który przecież i inteligencji daje się we znaki, z drugiej zaś strony—brakiem uświadomienia i zrozumienia zasad katolicyzmu społecznego.

Ale nietylko akcja charytatywna... Także i rozwój chrześcijańskiego ruchu zawodowego jest za powolny i zbyt słaby jedynie i wyłącznie z powodu braku dopływu i współpracy inteligencji katolickiej. Trzeba to sobie powiedzieć wyraźnie: inteligencja katolicka pod względem społecznym nie zdała egzaminu dziejowego. Umie ona krytykować bardzo surowo istniejące u nas i pracujące w ciężkich warunkach organizacje robotnicze chrześcijańskie, ale pójść do nich, podać im rękę i współpracować z nimi—nie potrafi. Zauważyli ten objaw niektórzy przedstawiciele duchowieństwa. I oto cytujemy ciekawy artykuł ks. Stanisława Buchały, zamieszczony na łamach „Głosu Narodu":

„Tą aktualną, żywotną wciąż kwestją to potrzeba silnych, zawodowych organizacyj robotniczych, opartych o wiekopomne Piusowe i Leonowe zasady z encyklik o kwestji społecznej. Tyle się dziś mówi o akcji katolickiej i nie mniej pisze. Rozumie się ogólnie przez nią udział świeckich katolików w pracy nad szerzeniem i pogłębianiem katolicyzmu w świecie w teorji i praktyce. Do tej akcji tak szeroko pojętej, trzeba wciągnąć i świat robotniczy, ze względu, że to świat szeroki, wpływowy przez swoje masowe organizacje, a jakże zaniedbany i na zatratę dla Kościoła narażony. Mówi się, że zyskać inteligencję dla Kościoła to problem królewski duszpasterstwa współczesnego. Nie myślę temu przeczyć. Ale utrzymać przy Kościele masy robotnicze, zacieśnić węzły, łączące je z wiarą, albo gdzie one są obce, lub obojętne dla Kościoła z powrotem je do niego zbliżyć, to problem zaiste cesarski. A drogą, którą te masy robotnicze oddalają się od Kościoła to bezsprzecznie związki zawodowe, oczywiście te niechrześcijańskie. — Przez klasowe, czy inne niechrześcijańskie zawodówki, dostają się robotnicy katoliccy pod wpływy ludzi niewierzących lub obojętnych religiinie, dostają się następnie pod kulturalne wpływy laickiego światopoglądu, kończą w politycznych stronnictwach, programowo nastawianych na walkę z Kościołem. Ale może być odwrotnie. Dobrze postawione i mądrze kierowane chrześcijańskie zawodówki kierują robotnika do oświatowych, kulturalnych organizacyj, gdzie się wyrabia jego chrześcijański światopogląd, a tam wyrobiony stanowi taki robotnik pierwszorzędny materjał do pracy czy to w akcji katolickiej, czy w trudnej, odpowiedzialnej, politycznej działalności katolickiej. Oddalanie robotnika od Kościoła zaczyna się od przystąpienia do niechrześcijańskiego związku zawodowego. Powoli, krok za krokiem, nić za nicią zrywa się węzły łączące go z Kościołem. Trudno mieć potem żal do takiego człowieka, który dla chleba wstąpił do klasowego związku zawodowego, skoro nie było chrześcijańskiego. Stąd wniosek, że w zakres nowocześnie pojętego duszpasterstwa powinien być wciągnięty zawodowy, a potem oświatowy związek chrześcijańskich robotników.

Pewnie, że to rzecz daleko trudniejsza, niż założenie i prowadzenie kościelnego bractwa, zwłaszcza niewieściego. Ale też nikt nie wymaga, by duszpasterz stawał na czele walczących o swe prawa kadr robotniczych;

winien natomiast przyczynić się do powstania takiej organizacji, ułatwić centrali jej założenie, otoczyć ją potem życzliwą opieką, czasem sprostować mylne o niej wyobrażenia w sferach pracodawczych. To się już dawno stało w Niemczech, potem w Belgji. Zatem teraz kolej na Polskę, by księża nietylko rozumieli potrzebę takiej pracy w ośrodkach przemysłowych, gdyż takich jest wielu, ale by i czynnie do tej pracy przyłożyli rękę, bo dziś jest tak w niektórych diecezjach, że duchowieństwo, pracujące w organizacjach zawodowych, czy oświatowych robotniczych, to naprawdę wielka rzadkość. Rola ludzi stojących na uboczu jest bezsprzecznie wygodniejsza. Na zebraniach katolickich robotników słyszy się ustawicznie nawoływania, skierowane w stronę duchowieństwa i inteligencji katololickiej o współpracę. Sposobność doskonała do zrealizowania akcji katolickiej. Pomóż im, by sobie pomogli sami. To wołanie głośnem echem powinno odbić się zwiaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko zdaje się wskazywać, że wśród ogólnego „tohu wabohu"—novus ab integro saeculorum nascitur ordo (nowy z gruntu rodzi się porządek wieków). Mówić, że Kościół ma na to czas, bo jest wieczny, przyprawiło już nieraz katolicyzm o pokaźne straty. — Oczy Rzymu patrzą daleko, a jak to widać z orzeczenią Kongregacji Soboru, o której donosi KAP, uważają tam Ch. Z. Z. za conditio sine qua non (warunek nieodzowny) wpływu jakiegokolwiek na robotnicze masy".

Nie można stawiać w tej dziedzinie specjalnie zarzutów duchowieństwu. Niewątpliwie pod względem akcji społecznej nie stoi ono absolutnie na wysokości zadania. Musimy jednak pamiętać, że duchowieństwo jest częścią społeczeństwa i trudno wymagać, aby odbiegało swoim poziomem zbyt dużo od poziomu ogólnego całego społeczeństwa...

Trzeba stwierdzić, niestety, że społeczeństwo nasze (jego inteligencja) jest zbyt konserwatywne w swoich poglądach społeczno-gospodarczych, pod tym względem stoi na poziomie połowy XIX w. Inne prądy, jak socjalizm i liberalizm też nie wychodzą u nas poziomem swojego rozwoju poza wiek XIX w porównaniu do społeczeństw zachodniej Europy. Gdyby katolicy byli bardziej postępowi w swoich poglądach społecznych, bardziej ruchliwi i przedsiębiorczy w tej dziedzinie, wówczas także radykalizm liberałów i socjalistów musiałby uledz pewnemu stępieniu w zetknięciu z większą energją kinetyczną katolików.

Na nieszczęście tak nie jest. Cóż więc nam pozostaje. Trzeba położyć większy nacisk na wychowanie przynajmniej młodego pokolenia w zasadach Rerum Novarum i Quadragesimo Anno i to w ten sposób, aby zasady te nietylko głosili, ale także i wykonywali, aby z tego pokolenia wyszedł zastęp dzielnych

pracowników i kierowników inteligentnych ruchu robotniczego. Jeżeli tego nie uczynimy, fatalne skutki zaciążą nad rozwojem katolicyzmu w Polsce... *S. J. K.*

Antyklerykalnemu p. Syruczkowi w odpowiedzi.

Mój artykuł p. t. „Napaść na zjazd pisarzy katolickich", umieszczony w № 3 „Pro Christo" nie przebrzmiał bez echa. W № 11 „Kultury" pojawiła się replika p. Syruczka p. t. „Głos z puszczy dziewiczej", w którym napada na mnie za ustosunkowanie się do jego ataków na zjazd pisarzy katolickich. Pod względem rzeczowej argumentacji nowy elaborat p. Syruczka nie przynosi niestety nic nowego, jej braki usiłuje przysłonić złośliwemi uwagami personalnemi i płytkiemi dowcipami. Trudno każdy daje to na co go stać. Jedno należy wszakże podkreślić, wbrew dotychczasowej praktyce t. zw. „Obozu postępowego" niema aluzji do „średniowiecznej ciemnoty". Społeczeństwo katolickie występuje tu jako „puszcza dziewicza". Termin ten to zapewne reminiscencja z lektury Boy'a, który jak wiadomo z lubością operuje pojęciem „dziewictwa". Nawiasem mówiąc lepiej być „puszczą dziewiczą" niż rachitycznym laskiem podmiejskim; przeciwko temu porównaniu nie mamy powodu protestować. Według nas w społeczeństwie katolickiem tkwi wiele sił potencjalnych, twórczych, czyli używając terminologji mego polemisty „dziewiczych". Okoliczność, że ogół narodu polskiego, w przeciwstawieniu do jednostek, jest zdrowy moralnie i fizycznie, niezdeprawowany i niezblazowany jest źródłem naszej wiary w przyszłość Polski.

Przypominamy p. Syruczkowi, że ironja jest niebezpieczną tylko w rękach tych, którzy umią się nią posługiwać. Jeśli się nie ma danych na jubilera, to już lepiej być nadal kowalem i kuć stare, oklepane „kawały". Radzimy przypomnieć sobie o tradycyjnem „średniowieczu". Pocóż silić się na nowe metafory, niegrzeszące ani dowcipem ani trafnością sądu, kiedy ma się pod ręką wypróbowane „powiedzonka".

Pragnę mu także na tem miejscu podziękować za troskliwe

rady w stosunku do mojej osoby. Z jedną tylko się nie zgodzę mianowicie z przestrogą o niewywoływaniu wilka z lasu. Zawsze twierdziłem, że drapieżników i szkodników trzeba tępić, a nie czekać, aż się rozzuchwalą bezkarnością. Zresztą te „groźne wilki" zbliska stają się zazwyczaj zwykłemi „farbowanemi lisami".

Nie podoba się p. Syruczkowi określenie jego poglądów słowami: obłuda, perfidja, demagogja. Trudno demagogję uznać za objektywizm. W poprzednim artykule zaznaczyłem, że wierzę, iż w obozie liberalnym są przeciwnicy, którzy walczą otwarcie i po rycersku, żałuję bardzo, że poczucie sprawiedliwości nie pozwala mi do nich zaliczyć p. Syruczka.

Zarzuca mi, że nie odpowiedziałem na wszystkie jego wątpliwości. Artykułowi p. Syruczka poświęciłem przeszło cztery strony; tematu całkowicie wyczerpać nie mogłem, gdyż im dalej w głąb tem więcej delikatnie mówiąc nieścisłości. Wybrałem z konieczności tylko „wonniejsze" i jaskrawsze kwiatki. Trudno pisać o niewielkim artykuliku całą monografję; sądzę, że to jest całkowicie zbyteczne, choćby ze względu na jego niezbyt wysoki ciężar gatunkowy.

Co do uczestników zjazdu, to mogę p. Syruczka zapewnić, że każdy z nich może się wylegitymować pracą publicystyczną. Nie może odemnie jednakże wymagać, abym opracowywał poszczególne bibljografje. W każdym razie jest to rzecz możliwa i jako taką gorąco mu ją polecam. Wyjdzie mu to z pewnością na dobre, bo poznawszy prace swych przeciwników straci mocno na megalomanji i tupecie.

Aby usunąć różne „wątpliwości" p. Syruczka co do celowości udziału duchowieństwa w jeździe, stwierdzam, iż w danym wypadku obojętnem jest, czy kto jest duchownym czy też świeckim. Istota rzeczy polega na tem, aby był **pisarzem** i to **pisarzem katolickim.** My dla sukni kapłańskiej odczuwamy szacunek, a nie nienawiść, tak jak p. Syruczek, który ze swemi poglądami spóźnił się o kilkadziesiąt lat. Więcej współczesności!!! Trudno bezustanku tkwić w XIX wieku. Do przeszłości należą te czasy, gdy popłacało krzyczenie na księży przy jednoczesnym oblekaniu się w maskę „prawowiernego katolika". Nadeszła pora, aby otwarcie się opowiedzieć, czy się jest z tej, czy z tamtej strony barykady. My w pańskie „katolickie" intencje i tak nie uwierzymy. Pocóż więc troszczyć się o orga-

nizacje katolickie, pocóż wzdychać „do manifestacji katolicyzmu za pośrednictwem pisarzy o równym stopniu artyzmu co i temperatury wiary?" Tembardziej, że samemu ma się kłopoty zarówno z tym talentem, jak z ową temperaturą. Medice cura te ipsum.

Replika p. Syruczka utwierdziła nas jeszcze w tem mniemaniu, jakie mieliśmy o nim i jego metodach. Czas wreszcie, aby zmodernizowany typ molierowskiego „Tartuff'a, przestał być aktualnym i przeszedł do lamusa jako zabytek minionej epoki. Szanujemy wszystkie poglądy, ale żądamy jednego: nie gnić w strupieszałych metodach ateizmu XIX wieku.

Miejsca dla ludzi żywych! *Józef Lubicz.*

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Wśród ludzi, zdarzeń, pism i książek.

Ewolucjonizm na spacerze. Jest piękne południe niedzielne. Słońce przygrzewa i świeci olśniewająco. Pora w sam raz do spaceru. Warszawa nie daje się długo prosić. Trotuary wypełniły się ruchomą, zwartą masą przechodniów, która sunie, zlekka kołysząc się i wlewając w szeroko rozwarte bramy parków. Depcze się po piętach swym poprzednikom, ale równocześnie spotyka cię ta sama przyjemność z tyłu. Choć się bynajmniej nie nasłuchuje, raz po raz wpadają w uszy fragmenty rozmów.

Idzie jakaś para. Ona młoda, zgrabna, przystojna. Rozmawia i śmieje się dźwięcznym głosem. On ma na ramionach trzy gwiazdki. Kapitan, a więc już człowiek starszy. O fizjognomji najlepiej nie wspominać.

— Ale ja pani mówię, że tak jest naprawdę—perswaduje głuchym basem towarzyszce.

— Akurat, bo pan to powiedział, więc mam zaraz uwierzyć? Czy tak?

— Przedewszystkiem nie ja, tylko uczeni. Niech pani weźmie poważniejsze dzieło, a przekona się pani, że Darwin

mówił o pochodzeniu człowieka od małpy, potem jego uczniowie... Człowiek—to właściwie wyższy gatunek małpy.

— I pan w to wierzy?

— Najzupełniej.

— To pan pochodzi od małpy?

— A oczywiście.

— Wie pan, co panu powiem: może mężczyźni pochodzą od małp, ale, co do kobiet, to jestem pewna, że nie mają z małpami nic wspólnego.

Chwila ciszy. Oboje milczą.

— Ale słońce dziś mocno grzeje — zauważa dla podtrzymania rozmowy zmieszany potomek małpy.

— Tak grzeje...

Dalsza rozmowa o pogodzie była już całkiem konwencjonalna.

Jeszcze o małpach. Zdarzyło mi się być w pewnem towarzystwie literackiem na pewnej dyskusji. Miała ona być na temat literacki, lecz dyskusje w owem towarzystwie dziwną mają skłonność do odbiegania od tematu. Dyskutowano kiedyś o etyce Żeromskiego, zjechano na kwestję, czy prostytucja jest potrzebna i czy wobec tego powinna być zwalczana. Tym razem stało się podobnie. Głośna książka pisarza amerykańskiego stała się właściwie odskocznią, bo cała dyskusja poszła w kierunku rozważań na temat reformy seksualnnej, oczywiście pojętej jak najliberalniej. Tykano się wszystkiego. Znalazł się amator nudyzmu, inny nie zborgował o. Pirożyńskiemu, inny wreszcie wygłosił pochwałę nowego projektu prawa małżeńskiego.

— Chcemy rozwiązania tej palącej kwestji na platformie materjalistycznej, bez całej tej bzdurnej metafizyki różnych czcigodnych panów, bez ich szanownych głupstw — zapalał się któryś z dyskutantów.—Dość nam tego!

Dyskusja stawała się namiętniejsza z każdą minutą. Ciekawa historja! Że też najbardziej kwestjami rozwodowemi interesują się ludzie młodzi, którzy nie mieli jeszcze czasu poznać małżeństwa z... autopsji! Nic dziwnego, że ludzie starsi czuli się sprowokowanymi takim obrotem rzeczy. Głos zabrała pewna lekarka. Mówiła całkiem interesująco z dużą dozą słuszności; przekonywała młodych materjalistów, że bez nadbudowy metafizycznej małżeństwo nigdy nie będzie związkiem trwałym;

aż nagle w uszy słuchaczy wpadł wśród największej ciszy, passus niespodziewany:

— Wszystkie zwierzęta wytworzyły gatunki, doskonalsze od siebie, tylko człowiek i małpa nie wytworzyły. A właściwie małpa wytworzyła człowieka, tylko człowiek nie wytworzył nic. I właśnie coś doskonalszego powinniście wytworzyć wy, młodzi, bo wstyd dać się zdystansować małpie.

Jakaś młoda osóbka, która rok temu zapewno siedziała jeszcze na ławce gimnazjalnej, zauważa z westchnieniem:

— Jak ci ludzie gwałtem chcą pochodzić od małpy! Czy Twórca do stworzenia człowieka potrzebował aż małpiego pośrednictwa?

Masz rację, panienko.

Uczeni mówią... Miałem ostatnio okres odczytomanji. Przez kilkanaście dni prawie codzień byłem na jakimś odczycie. Z różnych bywały zakresów: i literackie, i społeczne, i przyrodnicze, i polityczne. Nasłuchałem się najrozmaitszych rzeczy- Dowiedziałem się dużo nowych.

Pewien podróżnik, co powrócił niedawno z Jawy, opowiadał, że, według Jawańczyków, małpa — to nic innego, jak zdziczały człowiek. Legenda jawańska opowiada, że dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, poszło z matką na skraj dżungli bodaj po orzechy kokosowe czy coś podobnego. W czasie zbioru zabłądziły w dżungli, z biegiem czasu stały się dziksze, porosły włosem, ale, gdy się przyjrzeć ich potomstwu można wyraźnie nawet dziś jeszcze rozpoznać rysy ludzkie. Po ludzkich przodkach małpom tym, z europejska zwanym gibonami, a przez tubylców o-a, pozostała jeszcze jedna zdolność:—potrafią wyśpiewać całą gamę. Nawet orang-utan w dosłownym przekładzie znaczy „leśny człowiek". Tak twierdzi niecywilizowany Jawańczyk, który małpę uważa za zdegenerowanego w kazirodczym związku człowieka. Człowiek cywilizowany dla odmiany poczytuje sobie pochodzenie od małpy za zaszczyt. Cóż robić z upartymi! De gustibus non...

— A na innym odczycie dowiedziałem się, że małpy nie potrafią właściwie budować odpowiednich dla siebie legowisk. Są pod tym względem ogromnie niedbałe. Ptaki, jak np. tkacze afrykańskie, owady, jak tamtejsze również termity, ryby, wszystkie te zwierzęta, pomijając inne ssaki, budują sobie schronienia,

wprowadzające w zdumienie pomysłowością i techniką wykonania (bez pomocy narzędzi!), jedynie małpy, „krewniaczki" człowieka, który stwarza cuda architektoniczne, są niedorajdami. Ze względu na takie wysokie pokrewieństwo powinny chyba mieć chociaż kapkę więcej.

Kartka z dziennika zesłańca. Nazbierało się mi w ciągu lat papierów różnych coniemiara. Mam rozmaite dokumenty urzędowe z czasów przedrozbiorowych, autografy znakomitości, a czasami plątają się jakieś kartki czy świstki z przed dziesiątków lat, z których treścią sam jeszcze nie zdążyłem się zapoznać. Tak było do ostatniej chwili z fragmentem dziennika Wojciecha Grochowskiego, na który nie zwróciłem jakoś uwagi. Właściwie cały fragment — to jedna tylko kartka, uszkodzona przez wilgoć, z żółtemi plamami, u góry wyskubana ze szkodą dla tekstu, który wypisany jest drobnem pismem, częściowo atramentem czarnym, częściowo niebieskim. Koniec jednej zapiski trudny do zrozumienia z powodu swej fragmentaryczności, druga natomiast przynosi refleksje po zwiedzeniu dwuch soborów w Petersburgu.

Grochowski był czas jakiś zesłańcem. Dostał się na zesłanie jeszcze w połowie ubiegłego wieku, mniej więcej wtedy, co i Narcyza Żmichowska. Łączenie tych dwuch nazwisk nie jest bezpodstawne, łączyła bowiem tę parę przyjaźń. Już potem w dobie przygotowań powstania, Grochowski, przyjmujący wysłanników Towarzystwa Demokratycznego z Paryża, przybyłych do Warszawy via Poznań, wprowadzał ich na Miodogórze do Królestwa Narcyzki, lecz teraz, gdy musiał przebywać zdaleka od kraju, Żmichowska pamiętała o nim. Czy pisała listy, nie wiem, ale wiem, że posłała Grochowskiemu w głąb Rosji obrazek francuski z Matką Boską Niepokalanie Poczętą, a wiem dlatego, że ta pamiątka po wielkiej pisarce jest dziś w mojej kolekcji autografów. Obrazek koronkowy, miedzioryt, na stronie spodniej modlitwa po francusku pod tem zaś ręką Żmichowskiej lapidarny podpis: „od Narcyssy". Podpis zżółkły, przybladły! Więcej nie mogła napisać, bo sama też zakosztowała „słodyczy" moskiewskiego więzienia i musiała się mieć na baczności.

Jednak ten obrazek ma swoją wymowę. Dlaczego Matka Boska, nie Kościuszko czy Mickiewicz np.? Musi Narcyzka nie

była taką znowu antykatoliczką, jak ją wymalował w swych artykułach i wydawnictwach rewindykacyjnych dr. Boy-Żeleński. Pozwalała sobie kobiecina na wypady antyklerykalne czy antyjezuickie, nawet Grochowski nie zaszczyca przyjaznem słowem Jezuitów, gdyż nie było to w modzie wśród entuzjastek, w gruncie rzeczy wszakże, pomimo pozornie chłodnego racjonalizmu, ludzie to religijni, podchodzący do wiary od strony uczucia raczej niż rozumu. Ciekawym dokumentem na potwierdzenie tego jest właśnie fragment z dziennika Grochowskiego. Czas więc wrócić do niego.

Ustęp. który nas będzie obchodził datowany jest „dn. 1.13 paźdz. 1860 w hot.". Grochowski wracał wtedy do kraju, by niebawem rozpocząć działalność pedagogiczną i potroszę konspiracyjną, ostrożną jednak, by nie wpaść w łapki żandarmów.

„Obejrzeliśmy—pisze—sobory Iz. i K. Znów też wykrzykniki: Boże! co też to kosztuje. Czemuż innego nie doznawaliśmy jeszcze uczucia—oprócz podziwu i prawie przestrachu. Nie mógłbym się modlić w takiej świątyni; bo jak tu przysłonić się do tych przepysznych niezmiernych głazów. Więcej niż o Bogu—dobrym Ojcu, miłującym ukorzonych w prostocie serca — myśli się o tym, co stawił tę świątynię. Tu jakby dumne Tytany chcieli zarozumiale pochełpić się z potęgą swoją, wiedzą i skarbami. Myśl, zdziwiona i wylękła, ich raczej szuka niż Boga i niedaleko potrzebuje szukać—bo... ich wódz na olbrzymim biegnie *) i sam olbrzymiej postaci, dumny i groźny, w gwałtownym galopie pędzi ku świątnicy. Patrząc na ten pomnik **) i tę świątynię, przyszły mi naiwnie do głowy wiersze Pola z Przyp (owieści) Winnickiego o synu, gdy, koniem śmiało tocząc, minął figurę, nie uchyliwszy czapki, i zuchwale najeżdżał na ojca. Do myśli polskiej, bardziej wiejskiej i piastowskiej, nie przystają takie przybytki. Ona korniej uchyla się przed Panem wśród skromnych ścian drewn (ianego) kościoła. Wokół szumią wyniosłe topole i rozłożyste kasztany; między nią a niebem nie staje nikt z ziemskich potentatów — czuje się pokorną lecz nie pognębioną, bo

*) Wierzchowcu.

**) Pomnik Piotra Wielkiego w Petersburgu, znany tak dobrze z poezji Mickiewicza, Puszkina i wogóle z literatury rosyjskiej, gdzie stał się niejako symbolem, dodać nie zawadzi, że jest to pierwszorzędne dzieło sztuki, jeden z najpiękniejszych pomników w Europie.

tylko Bóg nad nią wielki i potężny lecz łaskawy, a zresztą podobnież maluczczy, słabi, równi ludzie. Takie porównanie przychodziło mi na myśl osobliwie po wyjściu z naszego wiejskiego paraf(jalnego) kościoła. Obszerny lecz nie wysoki, a ocieniony drzewami... Przez drobne szybki... słońce—to czystym, rzęsistym po nawie rozleje się (deszczem), to znów drżące, palczaste przesłonią je liście (i przaz ten witraż) siatkowy tajemniczo faluje po obszernej podłodze kościelnej niby lekki dym z kadzielnicy lub chmurki aniołów-stróżów, co przebiegają od ziemi ku niebu, przenosząc modlitwy ukorzonych przed Panem i Jego dla nich łaski. Niezmiernie lekko, błogo robi się w duszy—serce mięknie i łzy występują na oczy, kornie lecz z mocną ufnością wznosząc się ku niebu".

Ciekawy fragment! I treściowo i formalnie. Forma znakomita. Nic to dziwnego. Kiedy się było nauczycielem Sienkiewicza...

Szkoda, że Grochowski nie pisał dziennika przez dłuższy okres. Miał i myśli ciekawych, i obserwacyj, i wspomnień, godnych utrwalenia, zupełnie dość. Szkoda!

Niepodjęty spadek. Spotkałem dzisiaj przyjaciela z czasów szkolnych. Jest poetą i teoretykiem kinowym. Przyniósł mi zaproszenie. Znowu na odczyt. O palących zagadnieniach filmowych.

Ponieważ w „budzie" robiliśmy dużo wrzasku wokoło pisma literackiego, pytam o jego utwory najnowsze.

— Mam już dwa tomy. Jeden nawet wyjdzie niedługo. Mam wydawcę. A drugi będzie par excellence społeczny.

— Wolno spytać o tytuł?

— Może „Kroki", może „Sygnały". Boję się tylko, żeby mi książki nie skonfiskowali.

— Czyżby aż tak? I za cóż mieliby konfiskować?

— Radykalne teorje społeczne nie podobają się naszej cenzurze.

„Radykalne"? To powiedziane zręcznie, ale nie znaczy nic innego, jak „komunistyczne". Daleko zaszedł ten mój znajomek. A w szkole takim był nieugiętym. Opowiadał, że ma bezdzietnego wuja, lorda angielskiego, a może... islandzkiego, który chce mu zapisać cały olbrzymi majątek pod warunkiem, by przeszedł na protestantyzm. Ale on oczywiście jest wiernym katolikiem.

Kto słyszał wyrzekać się wiary dla majątku! Tak było przed laty. Dziś posunął się dalej, niż wymagał wuj, a spadku po nim nie znać. Tak, tak, tempora mutantur...

Stolica i dżungla. Jestem dla moich pań w domu „ramieniem męskiem", to też nolens volens muszę czasami asystować na różne wizyty, bo, gdy przyjdzie późno wracać... Właśnie chodzi najwięcej o to wracanie nocą. Ostatnim razem wracaliśmy grubo po północy jedną z bardziej ruchliwych ulic śródmieścia, gdzie pełno światła i pełno ludzi, aż tu do moich pań przyłącza się jakaś dziewczyna. Jest mocno zdyszana.

— Panie pozwolą—tłumaczy się, oddychając szybko—wracam od pracy. Nie mam pieniędzy na taksówki, więc chodzę pieszo. A tu nie można przejść samej kobiecie spokojnie. Raz po raz ktoś zaczepia. Jacy ci mężczyźni dzisiejsi ordynarni. Przed chwilą dwuch mnie goniło. Musiałam uciekać.

Działo się to w śródmieściu stolicy!

Moje panie zaczęły głośno współczuć. Mnie opanowała obcesja skojarzeń. Przypomniały mi się słowa pułk. Hamiltona, twórcy i dyrektora słynnego rezerwatu południowoafrykańskiego, parku Kruegera, wypowiedziane do gości z Polski.

O zachodzie słońca znaleźli się w sercu puszczy na ścieżce zwierzęcej, wiodącej do wodopoju nad rzeką Crocodilo. Polacy mieli jedynie aparaty fotograficzne, pułk Hamilton laskę. Któryś z naszych pyta, czy nie grozi niebezpieczeństwo ze strony dzikich zwierząt wobec nie posiadania żadnej broni, a gospodarz odrzekł na to bez cienia chełpliwości:

— W mojej puszczy bezpieczniej jest, aniżeli na ulicy wielkiego miasta.

Czy rzeczywistość nie potwierdziła tego?

Aż do tego stopnia! O sprawach katolicyzmu w Polsce mówią teraz w rozmaitych mowach potocznych nawet ci, którzy kiedyś wstydzili się o nich wspomnieć przypadkiem. Cały sęk w tem, że mówią źle. Wiadoma rzecz! Wszyscy publicyści, nadający ton i tor myśli t. zw. inteligentów, przypuścili szturm na katolicyzm, jakże więc można mówić o nim dobrze! Oto rozumowanie inteligenckie.

Kiedym jednego z takich gagatków przekonywał, że trzeba rozpatrzyć argumenty także strony przeciwnej, wyrecytował jednym tchem:

— Wolałbym, żeby tę t. zw. matkę ojczyznę wprzód djabli wzięli, niż żeby miała być katolicką.

Szanuję cudze przekonania, ale nie cudzy głupi upór. Z uparciuchami sprawa najgorsza.

Za plecami. Na pewnej prelekcji z zakresu historji sztuki miałem za plecami jakąś modną pannę w asyście dwuch niemniej modnych kawalerów.

— Tylko wrażenia estetyczne mogą nam dać pełne szczęście — zalata mnie frazes z ukarminowanych ust sąsiadki z poza pleców.

Rozmowa przechodzi za chwilę na inny temat. Towarzystwo deklinuje sztukę we wszystkich liczbach i przypadkach. Jacyś fanatyczni czciciele sztuki, którzy przypadkiem znaleźli się na tym świecie? Może. W każdym bądź razie elita umysłowa.

— Czy mogę pani służyć papierosem? — i elegancki gest ręki z wyciągniętą papierośnicą.

— Nie — wydymają się kapryśnie ukarminowane usta — taki zwyczajny papieros!... Wie pan, chciałabym skosztować papierosa opjumowanego. To musi być prawdziwe szczęście zaciągać się dymem z opjum.

Jakoś modna głowa prędko wyrzekła się rozkoszy estetycznych.

— To świństwo — oponuje drugi z asystentów — lepsza już kokaina.

— Ale gdzie jej dostać? — kłopocze się amatorka opjum.

— Są w Warszawie takie kawiarnie. Dostanie się, ile się chce.

— Trzeba będzie spróbować.

Jaki raptowny skok: od sztuki do najbanalniejszej narkomanji. Jak to tłumaczyć? Najzwyklejszem przerafinowaniem. To natomiast da się wyjaśnić brakiem u tych ludzi podstaw głębszych. Sztuka, ogołocona z wartości transcendentnych, to zawracanie głowy. Dosłownie. Porwie zrazu ludzi, oszołomi, ale, nie dając treści, odepchnie od siebie i zepchnie znacznie niżej, niż było się przedtem.

Józef Marjan Chudek.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Adam Galiński: Poezja Polski Odrodzonej. (Łódź Neumiller) 1931, str. 416.

Książka składa się z dwu części. W pierwszej podaje autor wyjątki pism poezji współczesnej, w drugiej zaś daje kilka rozważań na tematy najmłodszej polskiej i zagranicznej oraz omawia zrzeszenia (grupy) poetyckie, daje charakterystyki literackie poetów niezrzeszonych. W dodatku podaje aparat naukowy i bibljograficzny.

Dla pracowników oświatowych, publicystów, bibljotekarzy, polonistów rzecz niewątpliwie ciekawa, dla szerszych kół a zwłaszcza dla młodzieży nieużyteczna wobec niewyjaśnionej, często wątpliwej wartości poszczególnych prób literackich.

Polecona dla czytelników o wyższym poziomie intelig.

Buckingham: Praca badawcza na terenie szkoły (Bibljoteka Przekładów Dzieł Pedagogicznych t. 16) Książnica-Atlas, Lwów 1931, str. 379.

Pewne wiadomości umieszczone w książce Buckinghama mogą zainteresować szersze koła pedagogiczne, większość natomiast rozważań jest tak specjalna, że tylko osoby, oddające się naukowym badaniom dydaktyki znajdą interesujące je szczegóły. Książka odraża ponadto cudzoziemskiemi sposobami myślenia i mechanizacją życia umysłowego, która nie przekona Europejczyka, wykarmionego na starych pomnikach kulturalnych.

Mieczysław Guranowski: Kobiety biblijne. Gebethner i Wolf. Warszawa.

Na korowód kobiet biblijnych, który przewija Guranowski przed wzrokiem czytelnika składają się takie postacie jak Ewa, Agar, Rebekka, Rachela, Debora, Dalila, Ester, Ruth, Sulamith, Judyth. Wartość literacka tych portretów jest wybitna. Sztuka naturalistycznie pojęta, kłóci się tu niestety z pietyzmem, którego domagają się czołowe niewiasty Starego Testamentu i święte księgi biblji.

Dlatego dla bibljotek może książka tylko być dozwolona przy zachowaniu zastrzeżeń co do wieku, inteligencji i obyczajowości czytelników.

Zygmunt Nowakowski: Przylądek Dobrej Nadziei. Gebethner i Wolff. Warszawa.

Wspomnienia z dziecięcych lat napisane piórem Nowakowskiego, są dziełem mistrza. Uczyć się na nich można stylu, humoru, znajomości duszy dziecięcej. Tylko ktoś, co przy wielkim talencie strawił dziesiątki lat na studjach literacko-historycznych może obdarzyć takim nabytkiem społeczeństwo.

Rzecz przeczyta każdy z pożytkiem, starszy czy młodszy, wychowawca i wychowanek, uczony i prosty robotnik rolny.

Zofja Kossak - Szczucka: Topsy i Lupus. Wydawnictwo Polskie Wegnera. Poznań.

Dobrze się dzieje, że dla młodzieży piszą książki najlepsi autorzy. Kossak-Szczucka, która obdarzyła literaturę polską wybitnemi powieściami historycznemi, obecnie daje młodszej młodzieży do lat czternastu znakomite opowiadanie o dwu harcerzach, o zwierzętach, o cyrku, czyli o przedmiotach, które muszą zainteresować każdego chłopca.

Polecona dla młodzieży

Marja Dunin Kozicka: Ania z lehickich pól. Młodość. Dom Książki Polskiej, Warszawa 1932.

Oto książka, która pozwala wniknąć w duszę młodych dziewcząt, kształcących się, dążących do piękna i dobra, borykających się z chorobą i niedostatkiem, a zawsze znajdujących drogę wyjścia, podyktowaną szlachetnemi wskazaniami sumienia i cnoty.

Książka polecona dla młodzieży żeńskiej, dla jej wychowawczyń i wychowawców.

Mieczysław Jarosławski: Między Eufratem a Tygrysem, 2 tomy, Bibljoteka Iskier. Książnica - Atlas Lwów — Warszawa 1931, str. 216 + 202.

Lwowska Bibljoteka Iskier wydaje cztery cykle książek dla młodzieży. Z drugiego cyklu p. t. Wspomnienia z podróży tom 38 i 39 zawiera Jarosławskiego: Między Eufratem a Tygrysem. Opowiedziane żywo na podstawie autopsji zapoznawają młodych czytelników ze stosunkami społecznemi, Azji Mniejszej, wprowadzają w sposób myślenia tubylców i uczą zrozumienia odrębnych zwyczajów i poglądów.

Polecona dla młodzieży od lat 14.

Kleiner-Balicki-Maykowski: Literatura Polska. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Książka zamyka w czterech rozdziałach literaturę Polski przedrozbiorowej. Oto są tytuły: 1. Od początków piśmiennictwa do pierwszej książki Reja. 2. Od Reja do „sielanek" Szymonowicza. 3. Od „Goffreda" do walki Konarskiego z ciemnotą. 4. Od Konarskiego do końca rządów Stanisława Augusta.

Znawstwo przedmiotu, uosobione w prof. Kleinerze, oraz dydaktyczne mistrzostwo w ujmowaniu podręczników do nauki języka polskiego, uosobione w pedagogach tej miary co Balicki i Maykowski, stworzyło rzecz doskonałą, którą dziś każdy przeczytać musi, kto kocha kulturę polską.

Dookoła ziemi. Księżnica-Atlas Lwów, ul. Czarnieckiego 12.
St. Pawłowski: Francja.
B. Błażak: Przez kraj słonecznych dolin i górskich głuszy. Bułgarja
T. Nittmann: Pod ręką Fatmy. Algier.
S. Baszczewski: Na ciemnych wodach Paragwaju.

Czwarty cykl Bibljoteki Iskier p. t. Dookoła ziemi, pod redakcją wi zytatora poznańskiego Dr. Włada daje przystępne monografje krajów europejskich i zamorskich tak jak Francja, Bułgarja, Algier, Paragwaj.

Jest to geografja obszerniejsza niż w podręcznikach, a zwłaszcza żywa, przyjemna i nadaje się nietylko dla młodzieży, ale dla szerokich mas ludowych.

G. Ferero: Przemowy do głuchych. Przekł. autor. dr. J. Kuryłowicza. Poznań. Wydawnictwo Polskie Wegnera, str. 116.

Uczony profesor historji daje w niniejszej broszurze owoc przenikliwych swych docieków nad duchem naszych czasów. Wyzwolony zupełnie z przesądów, dominujących w mózgach współczesnych, jasno widzi zło we wszechwładnem panowaniu maszyny, w nadmiernej pożądliwości, w zbytniej niestałości obyczajów, w niesprawiedliwości kapitalizmu, a zbawienie widzi w dążeniu do doskonałości (jakościowej), w jasnem uświadomieniu sobie celu życia i granic między złem a dobrem, w obniżeniu stopy życiowej, w powrocie do czasów Chrystusowych.

Książka zasługuje na jak najszczersze rozpowszechnienie.

Jan Kleszczyński: Idea i forma. Rzecz o dążeniach sztuki polskiej. Warszawa 1931. Łazarski, str. 388.

Gruntowna rozprawa na temat sztuki w ogólności, zajmująca należytą ze stanowiska narodowego postawę wobec zagadnień teoretycznych i praktycznych z tego zakresu. Jeżeli punkt widzenia katolicki nie otrzy-

mał w tem ujęciu satysfakcji w całej pełni, to z drugiej strony otrzymali należytą odprawę pisarze materjalistyczni tego pokroju co Ribot, Lévy-Brühi.

Stanisław Mackiewicz: Myśl w obcęgach. Studja nad psychologją społeczeństwa Sowietów. Warszawa 1931. F. Hoesick, str. 209.

Autor wyjechał do Rosji, aby sobie odpowiedzieć na pięć pytań: 1) Czy w razie wojny załamie się obecny porządek, czy utrzymując się skutecznie walczyć będzie z wrogiem? 2) Czy w Rosji zwyciężyły siły odśrodkowe czy dośrodkowe? 3) Jak się przedstawiają siły Azji na bolszewicką Azję? 4) Jak wyglada młodzież wychowana w zastępach bolszewickich? 5) Jak zapatrują się w Rosji na przyszłość kraju?

Sąd autora w stosunkach sowieckich wypada stanowczo negatywnie, wykazując spaczenie niektórych rozumnych założeń ustroju bolszewickiego. Zdrowy duch bijący z książki, może pomódz w tych kołach, które zbytnio zapatrują się w politykę Kremlu.

Polecona dla wszystkich.

Stanisław Fałat: Sztuka i życie. Refleksje. F. Hoesick Warszawa 1931. Str. 168.

Wielki malarz, fanatyk piękna, ujął we formę nawskroś literacką luźne uwagi o sztuce i pięknie. Rozumowania chromają niekiedy formalnie i co do treści z uszczerbkiem dla etyki i religji. Usterki filozoficzne są jednak nieznaczne w porównaniu do szczerego a wielkiego ukochania piękna, i pięknego języka, który zdobi ten tomik, któremu życzyć należy rzetelnego powodzenia wśród szerokich mas.

Sergjusz Hessen: Podstawy pedagogiki. (Bibl. Dzieł Pedag. № 25—27). Nasza Księgarnia. Warszawa 1931, str. 430.

Jest to systematyczna encyklopedja zagadnienia wychowawczego. Przebiega wszystkie stopnie szkolnictwa od przedszkola do uniwersytetu, potrąca o wszystkie aktualne problemy, napotkane w drodze. Idea chrześcijańska jest słabo przedstawiona, chociaż nie jest autorowi obca ani też dziełu. Pracowników oświatowych zainteresuje rozdział o oświacie pozaszkolnej, zaopatrzony w najnowszą literaturę przedmiotu. Całe dzieło spełni misję pożyteczną dzięki swej wszechstronności, miarkowanemu doskonałem wyrobieniem filozoficznem autora.

Książka polecona dla wykształconych.

Kaźm. Wójcicki: Asnyk wśród prądów epoki. (Materjały i opracowania). Próba bibljografji pism Asnyka. Warszawa 1931. Pałac Staszica. Kasa Mianowskiego.

Spis rzeczy:

Asnyk i pozytywiści Warszawscy.
Asnyk i stańczycy.
Asnyk i specjalizm galicyjski.
Asnyk i Młoda Polska.
Rys dziejów sławy poetyckiej Asnyka od str. 215—342.

Nie jest to monografja Asnyka, lecz relacja w powodzeniu i niepowodzeniu poezji za życia poety i po jego zgonie. Zainteresuje nietylko historyków literatury, ale także socjologów, oświatowców, historyków kultury, pedagogów.

Polecona dla inteligenji. *Ks. Dr. St. Abt.*

Redaktor odpowiedzialny: HIERONIM SAMULSKI.